ZE SZTOKHOLMU DO POŁOCKA

PO FABIANISZKACH ZOSTAŁA PAMIĘĆ

Ogólnokrajowy miesięcznik SZ "Związek Polaków na Białorusi" - Założony w roku 1992 - Wydawany na uchodźstwie od roku 2005

MAGAZYN POLSKI

NR 8 (80) SIERPIEŃ 2012



W ROCZNICĘ „CUDU”

Ogólnokrajowy miesięcznik SZ "Związek Polaków na Białorusi" - Założony w roku 1992 - Wydawany na uchodźstwie od roku 2005

MAGAZYN POLSKI

NR 8 (80) SIERPIEŃ 2012





Pamiętamy o ziemi ojczystej

Po wojnie, a dokładnie od lata 1945 roku, wiele rodzin polskich z Wołkowyska i okolic z bólem w sercu opuszczało ziemię ojczystą, zostawiając dobytek całego życia, groby przodków

16

Perła Polesia

Za prawdziwą stolicę Polesia jest uznawany Pińsk - miasto położone nad rzeką Piną, dopływem Prypeci i liczące 915 lat historii. Znajduje się w samym centrum regionu

18

Na pierwszej stronie okładki: Składanie wieńców i zapalanie zniczy na grobie polskich żołnierzy w Żodziszkach

Na ostatniej stronie okładki: Na cmentarzu w Wornianach. Fot. Irena Waluś

MAGAZYN Polski jest wydawany ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP przy wsparciu Fundacji «Wolność i Demokracja»

REDAKTOR NACZELNY:
Irena WALUŚ,
i.walus@op.pl
tel. +375 29 949-35-09

KOREKTA:
Danuta KARPOWICZ,
SKŁAD I ŁAMANIE:
Alaksiej SALEJ

OKŁADKA: **MAGAZYN POLSKI NA UCHODŹSTWIE**

PRENUMERATA POLSKA:
Fundacja Wolność
i Demokracja,
Al. Ujazdowskie 37 lok 2
00-540 Warszawa
tel. (22) 629-15-36

MAGAZYN POLSKI jest ogólnokrajowym miesięcznikiem Społecznego Zjednoczenia «Związek Polaków na Białorusi». Założony w roku 1992, od roku 2005 jest wydawany na uchodźstwie.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów otrzymanych oraz ich tytułów.

«Ożywić» historie rodzinne



IRENA WALUŚ
REDAKTOR NACZELNY
«MAGAZYNU POLSKIEGO NA UCHODŹSTWIE»

Pewnego razu spadł album ze starymi pocztówkami mojej koleżanki, kartki się rozsypały, a ona ze zdziwieniem zauważyła, że pocztówki są zapisane. Od wysłania ostatniej kartki minęło ponad pół wieku. Po przeczytaniu pierwszego listu na pocztówce było widać, że pisze zakochany mężczyzna. Wyrazy miłości, jak się okazało, były skierowany do siostry babci – zafascynowały moją koleżankę na tyle, że się udało odtworzyć historię wielkiego uczucia, przy okazji dużo dowiedziała się o swojej rodzinie.

W «archiwach domowych» są listy, stare fotografie, czasami pamiętniki i dzienniki osób już nieżyjących. Gdy czyta się o radościach i problemach przodków spisanych ich własnymi słowami – historia zaczyna nabierać dla nas szczególnego znaczenia. Warto te archiwa uporządkować, a może pójść w ślady mojej koleżanki i «ożywić» historie rodzinne, bo źródła te dostarczają wglądu w życie rodziny i jej otoczenia.

Obecnie jest duże zainteresowanie literaturą wspomnieniową, biograficzną, z przeczytanych przeze mnie ostatnio książek, większość jest właśnie takich. Ta literatura zaczęła pełnić ważną rolę. Być może to zjawisko można wyjaśnić postępującym kryzysem fikcji czyli literatury tradycyjnej, tym że czytelnicy wolą autentycznych bohaterów i prawdziwe wydarzenia.

W dzisiejszych czasach więcej osób interesuje historią swojej rodziny. W czasach komunistycznych bezpieczniej było milczeć na temat rodziny. Także dlatego, że reżim komunistyczny marzył o sowieckim człowieku nieobciążonym przeszłością, zamiłowaniem do tradycji. Teraz ludzie nadrabiają zaległości i chcą wiedzieć, kim byli przodkowie. Jako dziennikarka wysłuchałam sporo historii rodzinnych. Osoby, które poznały dzieje swoich rodzin, mają poczucie ogromnej satysfakcji, wręcz nawet spełnionej powinności. Często nawet nie przypuszczały, że ich krewni, wydawałoby się zwykli ludzie, przeżyli tak wartościowe życie, zachowali godność w warunkach bardzo trudnych. Poznane historie są warte tego, by je przekazać następnym pokoleniom.

Może stajemy się snobami, w dobrym znaczeniu tego słowa, ale obecnie wypada znać swoje korzenie. W rozmowach towarzyskich mówienie o swoich przodkach, o poszukiwaniach dokumentów w archiwach – to dobry temat. Anglicy mówią, że trzeba wiedzieć przynajmniej o czterech pokoleniach przodków, bo nie warto z kimś się przyjaźnić, kto nie posiada takiej wiedzy. To minimum, bo znamy rodziców i dziadków, ci ostatni mogą opowiedzieć o swoich rodzicach i dziadkach. Teraz zdecydowanie lepiej być «kimś» i «skądś» i wcale nie chodzi tu o pochodzenie szlacheckie.

Pamiętniki, dzienniki i wspomnienia interesują także historyków, dla nich są cennym źródłem, bo pokazują zupełnie nieznany obraz historii z punktu widzenia przeciętnego świadka wydarzeń, pozwalający głębiej poznać i zrozumieć przeszłość. Chociaż mogą prezentować subiektywne spojrzenie i poglądy autorów na przebieg wydarzeń, to pokazują przeżycia bohaterów, ich życie codzienne, a także postawy ludzi wplątanych w wir historii, a tego nie znajdziemy w dokumentach oficjalnych.

W tym «Magazynie» są trzy ciekawe publikacje dotyczące rozważanego tematu: reportaż o podróży bohatera w okolice Połocka. Michał ze Sztokholmu z pamiętnikiem dziadka w ręku odwiedza Białoruś, poszukując śladów obecności swoich przodków.

Profesor Mieczysław Jackiewicz kontynuuje wspomnienia o wydarzeniach w Kiemieliszkach w czasie wojny w 1944 roku. O tym nie przeczytamy w żadnym podręczniku historii!

Trzecia historia to wspomnienia i refleksje Romualda Mieczkowskiego z Wilna o Małej Ojczyźnie, domu rodzinnym... To wręcz poetycka historia napisana prozą, ale sercem poety. Każda z tych trzech historii jest różna, ale każdy z autorów pozostawił świadectwo nie tylko swojej rodzinie, to również świadectwo naszej obecności na tych ziemiach.

Gdyby album mojej koleżanki rozsypał się 20 lat później – wydarzeń rodzinnych sprzed laty nie udałoby się ustalić, bo nie byłoby komu o nich opowiedzieć. Potomkowie tej rodziny nie poznaliby historii miłości swoich przodków, których los wplątał w niezwykłe wydarzenia dziejowe. Więc trzeba się śpieszyć poznawać i opisywać historie rodzinne, póki żywi są dziadkowie, rodzice. Mając do dyspozycji współczesny sprzęt jak aparaty fotograficzne, dyktafony, kamery, znacznie łatwiej tego dokonać ■



SŁYNNE MISIE ZE SZWECJI

Białorusko-szwedzka wojna dyplomatyczna

Białoruskie MSZ zmusiło do wyjazdu z Mińska szwedzkiego ambasadora Stefana Ericssona, nie przedłużając mu akredytacji i oskarżając go o wspieranie białoruskiej opozycji.

Sztokholm zareagował natychmiast, wydalając dwóch białoruskich dyplomatów i odmawiając akceptacji nowego ambasadora Białorusi.

Na początku lipca niewielki samolot należący do PR-owej firmy Studio Total zmylił białoruską obronę przeciwlotniczą i zrzucił nad centrum kraju pluszowe misie z ulotkami domagającymi się wolności słowa na Białorusi.

W każdym normalnym kraju taka akcja zostałaby odnotowana jako zwykła ciekawostka, jednak reżim Łukaszenki odebrał ją jako dotkliwy prestiżowy cios. Obrona przeciwlotnicza jest bowiem od lat oczkiem w głowie Łukaszenki, który zawsze zapewniał, że właśnie on «chroni zachodnią flankę Rosji» przed wrogimi zakusami NATO. Poleciały więc głowy w białoruskim dowództwie: ze stanowiskami musieli się pożegnać szef białoruskich wojsk pogranicznych generał Raczkowski i szef obrony przeciwlotniczej generał Pachmiełkin. Przy okazji do aresztu trafił białoruski fotograf, który uwiecznił «pluszowy desant».

Fakt, że szwedzki ambasador nie miał z «pluszowym desantem» nic wspólnego, był w tym przypadku bez znaczenia. Szwedzki ambasador przepracował na Białorusi siedem lat i mówi po białorusku lepiej niż większość ministrów Łukaszenki.

Co będzie dalej? Należy oczekiwać, że zgodnie z zasadą «oko za oko» nastąpią kolejne działania odwetowe ze strony Mińska. Czy będzie to powtórka z polsko–białoruskiej wojny dyplomatycznej z 2005 roku i niedawnego skandalu z masowym opuszczaniem Białorusi przez unijnych ambasadorów? Być może. Bruksela ustami szefowej unijnej dyplomacji Catherine Ashton zapowiedziała już kroki odwetowe.

Widzowie zobaczą w Internecie

Współczesne białoruskie kino praktycznie nie istnieje. Jeśli filmowcom i uda się nakręcić jakiś dobry film, to jest problem z jego dystrybucją. Tak właśnie jest z filmem «Wyżej niż niebo» w reżyserii Andrieja Kurejczyka.

Na razie można go obejrzeć tylko w Internecie, ponieważ film ma problemy z cenzurą. Opowiada on o problemach muzyka rockowego Mikity zarażonego wirusem HIV. Jak się okazało, film jest zbyt szokujący, żeby pokazać go w państwowej BT, która jak wiadomo, bardziej dba o tanią rozrywkę niż o pobudzanie widza do refleksji.

Zaraz po zakończeniu zdjęć do filmu, na etapie końcowego montażu wybuchł skandal. Sponsor produkcji, czyli białoruski oddział ONZ, zajmujący się walką z AIDS, odsunął od pracy zespół i zaczął się domagać zmiany w fabule. Scenarzysta i reżyser obwinili oddział Organizacji Narodów Zjednoczonych o próbę cenzurowania filmu z powodu politycznych – poinformował portal generation.by

Aby jednak przedstawić film widzom, twórcy umieścili go na Youtube. Widzowie, sądząc po wpisach na portalach społecznościowych, wysoko oceniają jego wartość.

Ambitne kino wymaga wsparcia ze strony państwa, tak jest w wielu krajach europejskich, ale na to nie mogą liczyć twórcy z Białorusi.

PRZYGOTOWAŁA
ELIZA ANDRUSZKIEWICZ



Nadzieja Ostapczuk

Straciła złoty medal

Białoruski Komitet Olimpijski zapowiada, że będzie walczyć o to, by Nadzieja Ostapczuk, która na olimpiadzie w Londynie zdobyła złoty medal w pchnięciu kulą, zachowała go. W jej organizmie wykryto doping. Murem stoją za nią działacze sportowi i przedstawiciele władzy.

Ostapczuk została zbadana dzień przed zawodami i dzień po nich. W próbce moczu, którą od niej pobrano, wykryto metenolon – lek z rodziny anabolicznych steroidów.

W wywiadzie dla kanału telewizyjnego ONT powiedziała, że czeka na powrót z Londynu delegacji, która przywiezie dokumentację. Dopiero wtedy zostaną podjęte wszelkie działania. Sportsmenka zapowiada, że będzie walczyć, aby to nieporozumienie wyjaśnić.

Paweł Szulha, wiceminister sportu Białorusi, dał do zrozumienia, że jego resort nie godzi się z dyskwalifikacją sportsmenki. – Uważamy Ostapczuk nadal za mistrzynię olimpijską – komentuje Szulha.

Paweł Lohkij, szef służby prasowej Łukaszenki, stwierdził, że Ostapczuk nie powinno się zabierać orderu Ojczyzny III stopnia, nadanego jej przez prezydenta za sukces na olimpiadzie.

Niezadowolony z wyników sportowców

Białoruscy sportowcy mieli otrzymać na Olimpiadzie w Londynie aż 25 medali, jednak zdobyli tylko 12.

Z tego faktu niezadowolony jest prezydent, nie wątpi, że stoi za tym zmowa międzynarodowa. Rządowe media od samego początku ostro krytykowały igrzyska w Londynie. Głównie dlatego, że organizatorzy odmówili dla Łukaszenki akredytacji.

– Współczesny sport jest nie tylko chory. Ugrzązł w korupcji. Sędziowie, którzy podejmują decyzje, biorą pieniądze i oddają zwycięstwo temu, kto więcej zapłaci. Niszczą sportowców i poniżają państwa – oświadczył Łukaszenko, który jest również prezesem Narodowego Komitetu Olimpijskiego.

Powodem do niezadowolenia stały się gorsze od planowanych wyniki Białorusinów w Londynie. Przed igrzyskami Aleksander Łukaszenko ogłosił, że jego sportowcy muszą zdobyć 25 medali, w tym pięć złotych.

Podróżujcie bez symboliki sowieckiej

Na przejściu granicznym Ławoriszkes litewska straż graniczna nie wpuściła na swoje terytorium 26–letniego Białorusina, który podróżował czerwonym Porsche z namalowanym na masce symbolem sierpa i młota.

Litewskie prawo zakazuje publicznego demonstrowania symboli totalitarnych: sowieckich i faszystowskich. Dlatego funkcjonariusze straży granicznej zaproponowali kierowcy przekroczenie granicy autobusem lub pieszo. Białoruski turysta jednak nie skorzystał z tej propozycji, więc dostał odmowę wjazdu.

Na Litwie demonstracja lub rozpowszechnianie sowieckich i nazistowskich symboli podlega karze grzywny od 500 do 1000 litów (150 – 300 USD).

Przygotowała
Maria ZANIEWSKA



Na ulicach Warszawy podczas powstania

Godzina «W»

Pierwszego sierpnia 1944 r. w godzinę «W» o 17.00 45-tysięczny Warszawski Okręg AK rozpoczął krwawą walkę o stolicę. To był powstańczy zryw o niepodległość. Dźwiękiem syren o 17.00, uroczystościami pod pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego, na Wojskowych Powązkach i wolskim Cmentarzu Powstańców Warszawa wspominała swoich Bohaterów.

Do wybuchu powstania doszło w obliczu wielkiej ofensywy Armii Czerwonej na zachód i spodziewanej rychłej klęski Niemiec. Akcja «Burza» zakładała, że na froncie wschodnim AK będzie zajmowała opuszczane przez Niemców tereny, by postawić Armię Czerwoną przed faktami dokonanymi i wystąpić jako gospodarz tych ziem.

Przebieg «Burzy» na Wołyniu, w Wilnie i Lwowie dowiódł jednak, że Stalin nie uznaje żadnych niezależnych sił. Żołnierzy AK po walkach aresztowano i wywieziono w głąb ZSRR.

22 lipca 1944 r. w Chełmie ogłoszono utworzenie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, który Stalin uznał za jedyną legalną władzę Polski.

Światową opinię publiczną o powstaniu warszawskim poinformowało Radio Londyn. Alianci zachodni natychmiast zorganizowali zrzuty broni i amunicji dla walczących. Stalin nie pozwolił jednak na lądowanie samolotów po prawej stronie Wisły.

Najsłabszą stroną powstańców było uzbrojenie. Dysponowali oni niemal wyłącznie bronią ręczną. Brakowało w szczególności efektywnej broni przeciwpancernej, której rolę pełnić musiały butelki zapalające («koktajle Mołotowa»), granaty przeciwpancerne lub nieliczne granatniki przeciwpancerne.

2 października powstanie skapitulowało.

Straty powstańców wyniosły ok. 40 tys. zabitych i rannych; zginęło ok. 180 tys. cywilów. Poległo również około 2,3 tys. żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego gen. Berlinga, którzy usiłowali pomóc walczącej stolicy. Ponad 15 tys. uczestników powstania znalazło się w niewoli niemieckiej.

Według brytyjskiego historyka, Normana Daviesa, powstanie warszawskie mogło się stać jedną ze zwycięskich bitew II wojny światowej.

Pomnik Lecha i Marii Kaczyńskich

Jedyny taki pomnik w Polsce – prezydent Lech Kaczyński z małżonką – ma stanąć w Radomiu. Społeczny komitet budowy pomnika pokazał koncepcję pomnika, który ma stanąć przy głównej ulicy miasta.

Pomnik przedstawia parę prezydencką. Lech Kaczyński obejmuje małżonkę, oboje mają na sobie płaszcze, wyglądają jakby wyszli na spacer. Autorem jest Andrzej Renes, rzeźbiarz, autor wielu pomników w Polsce, m.in. kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie oraz tablicy pamiątkowej ku czci Lecha Kaczyńskiego, która znajduje się na ścianie Muzeum Powstania Warszawskiego w Warszawie.

– Pomnik z założenia miał być monumentalny. Chodziło o to, aby oddać dostojeństwo prezydenta i jednocześnie ciepło, bo był ciepłym człowiekiem, powie to każdy, kto go znał – mówił wzruszony poseł Marek Suski (PiS).

– Chcieliśmy pokazać, że dla pana prezydenta niezwykle ważna była rodzina, a żona była ogromnym wsparciem. Całe życie przeżyli razem, razem zginęli – wyjaśniał poseł.

Budowa pomnika ma być sfinansowana ze zbiórek i sprzedaży cegiełek. Odsłonięcie ma nastąpić w trzecią rocznicę katastrofy.

Przygotowała
Eliza Andruszkiewicz



Amerykańska gwiazda w Warszawie

Koncert Madonny

Królowa muzyki pop pojawiła się na scenie w Warszawie z bliskogodzinnym opóźnieniem. Piosenkarka jednak szybko zdobyła sympatię publiczności tworząc z koncertu widowisko muzyczne. Jednak kompletu na stadionie nie było.

Utworem «Girl Gone Wild» Madonna rozpoczęła koncert na Stadionie Narodowym w Warszawie. Artystka z pistoletem w ręku przebiegała wzdłuż i wszerz scenę próbując «rozgrzać» publiczność.

Madonna podziękowała też wszystkim fanom w Polsce za wsparcie i obecność na koncercie. – Sytuacja ekonomiczna w Europie i na świecie nie jest dobra, wiele osób nie ma pracy. A wy przyszliście płacąc słono za bilety. Damy więc czadu! – zapewniła Madonna.

Data występu amerykańskiej piosenkarki w Polsce zbiegła się z 68. rocznicą wybuchu Powstania Warszawskiego, co wzbudziło protesty. Jednak przed koncertem publiczność obejrzała film złożony z fragmentów kronik z Powstania Warszawskiego. Obrazy przeplatane były zdjęciami współczesnej Warszawy. Publiczność przyjęła film gromkimi brawami.

Czym są parabanki

To instytucje prowadzące działalność gospodarczą polegającą na przyjmowaniu depozytów i wykonywaniu innych czynności bankowych bez odpowiedniej licencji.

Pojęcie parabanków nie jest precyzyjnie określone. Przyjmuje się, że są to jednostki świadczące usługi podobne do bankowych. Jeżeli przedmiotem ich stałej działalności są usługi bankowe, podlegają licencjonowaniu podobnie jak banki, są kierowane poprzez osoby o odpowiednich kwalifikacjach. Parabankami w Polsce są Narodowy Fundusz Inwestycyjny, SKOK, kasa budowlano-pożyczkowa, bankowa kasa mieszkaniowa, kantor wymiany walut, firma leasingowa, firma faktoringowa, firma doradcza, firma pośrednictwa kredytowego.

Jest szansa znów uniknąć kryzysu

Tak pisze «Financial Times», opiniotwórczy brytyjski dziennik finansowy. «Pełna energii Warszawa chce zająć ważne miejsce przy europejskim stole» – brzmi podtytuł artykułu. Autor Jan Cieński uważa, że Polska ma szanse na uniknięcie kryzysu.

Polska przeżywa obecnie boom porównywalny z tym, jaki kraje Europy Zachodniej przeżywały po wojnie. Nadrabia zaległości, dogania gospodarki krajów Europy Zachodniej.

Polska sąsiaduje z Niemcami, dla których jest teraz ważniejszym partnerem handlowym niż Rosja. Dla niemieckich producentów polskie zakłady stanowią ważne ogniwo w łańcuchu dostaw.

«Niemcy ze swej strony gorąco popierają Trójkąt Weimarski, na mocy którego Polska regularnie uczestniczy w rozmowach Paryż-Berlin», zauważa brytyjski dziennik. Przyjęcie wspólnej waluty przyczyni się do wzrostu PKB i napływu inwestycji zagranicznych.

Ambicją Polski jest, aby będąc obszarowo siódmym krajem w UE, zaś pod względem liczby ludności szóstym, stanowić przykład nie tylko jako kraj, który pierwszy wystąpił z sowieckiego bloku, ale także jako reformator własnej gospodarki, na której teraz mogą się wzorować zarówno państwa na obrzeżu eurostrefy, jak Ukraina czy Białoruś, «mające kłopot z oderwaniem się od rosyjskiej orbity».

Przygotowała
Maria ZANIEWSKA

Rosyjski Nobel

Dziewięciu fizyków zostało milionerami. Rosyjski miliarder Jurij Milner ustanowił nową nagrodę w dziedzinie fizyki teoretycznej i osobiście wybrał pierwszych laureatów. Dostali po 3 mln dol. – trzy razy więcej, niż wynosi Nagroda Nobla.



Jurij Milner

Nagrodę oligarcha otrzymali m.in. Alan Guth, profesor fizyki w Cambridge, i Andriej Linde, kosmolog z Uniwersytetu Stanforda.

Fundator nagrody to król rosyjskiego Internetu. W latach 80. studiował fizykę na Uniwersytecie Moskiewskim, a potem robił doktorat w Instytucie Fizyki Akademii Nauk. Ale kiedy zaczęła się pierestrojka, zrezygnował z kariery akademickiej i zajął się biznesem. U boku oligarchy Michaiła Chodorkowskiego zarobił pierwszy milion dolarów. W porę się usamodzielnił – zanim Chodorkowski popadł w niełaskę Kremla i został wsadzony do więzienia.

Inwestował w spółki internetowe, kupił największy rosyjski portal internetowy Mail.ru, tworzył klony zachodnich serwisów sieciowych. Dziś kontroluje trzy czwarte rosyjskiego Internetu. Kilka lat temu założony przez niego fundusz DST zaczął kupować akcje światowych potentatów, m.in. Facebooka i Twittera. To uczyniło z niego miliardera. W zeszłym roku zapłacił 100 mln dol. za dom w samym sercu Doliny Krzemowej w Kalifornii.

Wygrać z rakiem

Macierzyste komórki rakowe naprawdę istnieją. To one dają początek guzom nowotworowym i odpowiadają za niepowodzenia w terapii – dowodzą najnowsze prace naukowców z USA, Belgii i Holandii.

O komórkach macierzystych pisano w tonie wielkiej nadziei. Mające zdolność przekształcania się w inne komórki i tkanki naszego organizmu, miały stać się szansą na stworzenie skutecznej broni w walce z nieuleczalnymi dziś schorzeniami – chorobą Parkinsona, Alzheimera, cukrzycą, ciężkimi uszkodzeniami rdzenia kręgowego czy niektórymi nowotworami.

Najnowsze wydania prestiżowych tygodników naukowych «Nature» i «Science» publikują w sumie trzy prace, które dowodzą, że rakowe komórki macierzyste to nie mit, ale fakt.

Okazało się, że w obrębie guza istnieje pewna grupa komórek, która potrafi oprzeć się terapii i dać początek kolejnym pokoleniom złośliwych komórek. Dopiero podanie dodatkowego leku – gancyklowiru – sprawiło, że rozrost guza udało się powstrzymać.

Energetyczny poker

Rosja testuje odcięcie Litwy, Łotwy i Estonii od systemu energetycznego IPS/UPS. Przeprowadziła na tę okoliczność próbę odrębnego funkcjonowania obwodu kaliningradzkiego.

System elektroenergetyczny IPS/UPS obejmuje, oprócz krajów bałtyckich, Ukrainę, Białoruś, Azerbejdżan, Gruzję, Kazachstan, Mołdawię, Mongolię, a poprzez system energetyczny Kazachstanu – Kirgizję, Tadżykistan i Uzbekistan.

Po przystąpieniu do Unii Europejskiej Litwa musiała zamknąć siłownię w Ignalinie, bo nie odpowiadała standardom UE. Miała powstać nowa jako wspólny projekt Litwy, Łotwy i Estonii oraz Polski. W listopadzie 2011 Polska Grupa Energetyczna ogłosiła, że zawiesza rozmowy.

W kwietniu br. Litwa parafowała umowę z japońskim koncernem Hitachi o budowie elektrowni atomowej we współpracy z Łotwą i Estonią. Minister energetyki Arvidas Sekmokas stwierdził, że Polacy interesują się projektem, i mogliby do niego powrócić.

Jednak to, czy na Litwie powstanie nowa elektrownia atomowa, zależy między innymi od wyników referendum, które ma być przeprowadzone wspólnie z wyborami parlamentarnymi.

Na Litwie nie wszyscy politycy są pozytywnie nastawieni do budowy siłowni jądrowej i współpracy z Japończykami.

Przygotowała
Eliza Andruszkiewicz



POLACY NA LITWIE WSPIERAJĄ AWPL

To jest poparcie!

Aż 12 tysięcy osób przekazało 1% podatku dochodowego na Akcję Wyborczą Polaków na Litwie. To jeden z najlepszych rezultatów wśród wszystkich litewskich partii politycznych.

Poseł do Parlamentu Europejskiego Waldemar Tomaszewski skomentował wynik tak: «To pokazuje realne poparcie i napawa optymizmem przed wyborami sejmowymi».

Poseł Tomaszewski poinformował również, że jest już wstępna lista kandydatów do parlamentu. Obok AWPL są na niej przedstawiciele Związku Rosjan i innych organizacji. Ostateczna lista kandydatów ma być zatwierdzona pod koniec sierpnia.

Polka szefową SIOS

W wyborach do władz SIOS, zjednoczenia reprezentującego mniejszości etniczne w Szwecji, na przewodniczącą organizacji wybrano wieloletnią prezes, a obecnie wiceprezes Zrzeszenia Organizacji Polonijnych w Szwecji Marię Jolantę Olsson.

SIOS posiada ponad 100 tys. członków i jest organem współpracy 21 krajowych organizacjach etnicznych działających na terenie Szwecji , w trzech oddziałach regionalnych, dwóch biurach antydyskryminacyjnych oraz sekcji kobiecej.

SIOS jest najważniejszym organem współpracy władz szwedzkich z licznymi mniejszościami narodowymi. Opiniuje wszelkie ustawy i inne akty prawne, programy i projekty badawcze dotyczące mniejszości narodowych i grup etnicznych.

Najpopularniejsza polonijna strona w USA

Strona internetowa «Nowego Dziennika» www.dziennik.com jest najczęściej odwiedzaną polonijną stroną informacyjną w USA.

Działa już od kilku lat. Od czerwca 2011 r. zyskała nową szatę graficzną. Jest więcej informacji, także tych z «ostatniej chwili». Powstały nowe działy tematyczne, w tym rozbudowana publicystka i zakładka «co gdzie kiedy». Nowością jest sekcja wideo, w której można znaleźć codzienną porcję najważniejszych wiadomości lokalnych, z kraju i ze świata, a od zeszłego tygodnia także codzienny program telewizyjny NDTV.

W kwietniu br. witryna «Nowego Dziennika» została uznana za najlepszą stronę internetową ze wszystkich wydawnictw etnicznych i lokalnych w metropolii nowojorskiej. Przyznano nagrodę «Ippie» City University of New York. W uzasadnieniu podkreślono przejrzystość portalu, sposób eksponowania informacji oraz doskonałe połączenie formy i treści materiałów dziennikarskich.

«Nowy Dziennik» stale pracuje nad unowocześnianiem strony internetowej. Chce także wychodzić na przeciw potrzebom użytkowników. Ponad 20% z nich korzysta z serwisu www.dziennik.com za pomocą przenośnych urządzeń, takich jak tablety czy smartfony. Dlatego kolejnym projektem jest stworzenie aplikacji mobilnej.

PRZYGOTOWAŁA
MARIA ZANIEWSKA

W rocznicę «Cudu»

W dn. 15 sierpnia w Polsce jest obchodzony Dzień Wojska Polskiego, to data nieprzypadkowa – rocznica zwycięstwa w bitwie pod Warszawą w 1920 roku, nazywanej «Cudem nad Wisłą». Zadecydowała ona o wolnej i niepodległej Polsce, w tym na naszych ziemiach. Ta bitwa uratowała też Europę od plagi komunizmu.

Dbanie o groby polskich żołnierzy to nasz honorowy obowiązek. «Taka jest nasza tradycja» – mówiono w wielu polskich rodzinach; szacunku do grobów żołnierzy uczy nas też Kościół katolicki. W tym dniu oraz kilku następnych działacze ZPB razem z konsulami z Konsulatu Generalnego RP w Grodnie odwiedzali groby żołnierzy 1920 roku rozsiane po całej Grodzieńszczyźnie. W niektórych miejscach odbyły się msze polowe. Warszawska bitwa nie zakończyła wojny z najeźdźcą bolszewickim, kropkę nad «i» postawiono w Bitwie Niemeńskiej.



IRENA WALUŚ

TERESA PIETROWA, PREZES SMORGOŃSKIEGO ODDZIAŁU ZPB, STAWIA ZNICZ NA KWATERZE POLSKICH ŻOŁNIERZY W HOLSZANACH





Irena Ejsmont

Na cmentarzu żołnierskim w Gieniuszach



Irena Ejsmont

Surkonty. AK-owcy uczcili pamięć poległych żołnierzy Macieja Kalenkiewicza «Kotwicza»

Czas przeszły niedokonany

Podróż ze Sztokholmu do Połocka w poszukiwaniu śladów obecności przodków

TADEUSZ C. URBAŃSKI



TAKI POŁOCK PAMIĘTAŁ OJCIEC NASZEGO BOHATERA – OLGIERD MISSUNA. TU: DWORZEC KOLEJOWY. 1915 R.

Gdy mój kolega Michał zaproponował mi podróż do jego rodzinnych korzeni, miałem wątpliwości, czy odnajdziemy siedlisko rodziny, mające się znajdować o kilkanaście kilometrów na zachód od miasta Połock na Białorusi.

Mieliśmy do dyspozycji pamiętnik ojca Michała, w którym zawarte były informacje o historii rodziny oraz szczegółowe opisy okolicy. Autor, Olgierd Missuna zadbał, by na kartach pamiętnika było wszystko mogące przydać się w podróży do tego miejsca.

«Zabołocie (siedzibę mojego ojca) z folwarkami Zalesiem i Kaczanowem, a w dawniejszych czasach Dubrowki i Bezdziedowicze (skonfliskowane po 1863 r. i oddane gubernatorowi witebskiemu Rimskomu Korsakowi), Homel i Czerwony Róg, Mojsiejowa Góra, Rżawiec (należący do mojego pradziada Józefa a odziedziczony przez jego wnuczkę Joannę, późniejszą Laskowską, matkę Ottona ...».

A familia Missunów herbu Kotwica, nie była może wszystkim znana, ale znaczna. «...Długosz w Kleynotach Polskich na karcie setnej i Paprocki na karcie sto dwunastej pisząc o Familii Missunów wyraża, iż Missuna kasztelan był delegowany do Ottona III względem koronacji Bolesława Chrobrego I-go Króla Polski w roku tysiąc osiemdziesiąt pierwszym, a Kromer Magius i Golefrans świadczą, iż w roku 1146 Missuna poznański wojewoda Władysława II-go na tron wynosił».

Autor pamiętnika wielokrotnie mówił synowi Michałowi, że marzył o pojechaniu w tamte strony po ostatniej wojnie, chociaż nie było do czego. Rodzina wyprowadziła się z Zabołocia jeszcze za jego pamięci, w roku 1918, do Warszawy, zostawiając wszystko pod opieką rządcy. W dwa lata poźniej doszły do Warszawy wieści, że posiadłość została spalona w czasie działań wojennych.

W rodzinie od lat przekazywano wiedzę o korzeniach, lecz nie obnoszono się z tym. Wiadomo było, że wielu z Missunów było żołnierzami i urzędnikami państwowymi, inni szukali szczęścia i pieniędzy na świecie, m.in. w Rosji.

«Ród Missunów wpisany był do VI księgi szlachty rodowej. Z posiadanych dokumentów wiem o Janie Marcinie Missuna, który «...za króla polskiego Jana III szczególną dzielnością, męstwem i odwagą swoją zjednał powszechny dla się szacunek, wtenczas to jest w roku 1678 miesiąca października dnia dwudziestego piątego, Król pomieniony w nagrodę okazanych zasług Ojczyźnie przez Przywilej własnoręcznym podpisem przy pieczęci Państwa stwierdzonym wyniósł onego na urząd Podstolego Ziemi Łukowskiej».(...) Dalej Marszałek Guberni Witebskiej pisze o Missunach rotmistrzach, pułkownikach, cześnikach, podczaszych, asesorach i pisarzach ziemskich, by stwierdzić że:

«Stosownie do przepisów Najwyższej o Dworzaństwie Hramoty Paragraffu dziewięćdziesiąt wtórego, punktów trzeciego, siódmego jedynastego, trzynastego y czternastego, całą tą Familiją za aktualną rodowitą starożytną szlachtę uznajemy i przy wszelkich prerogatywach szlacheckich na zawsze zachowujemy...».

Michał z zapisków ojca sporządził mapę rodzimej okolicy. Poczuliśmy się mocni geograficznie i terenowo na wschód od Połocka obeznani. To była rzewnie naiwna mapa z wyobraźni i z Internetu. Wydawało sie, że dzięki niej trafimy do Zabołocia bez przeszkód. Co prawda na współczesnych mapach nie było Zabołocia, ale były widoczne miejscowości okoliczne – zatem skręt w prawo, mostek, po lewej staw, ogromny kamień i wzgórze ze starym dębem. Wydawało się, że skoro wiemy czego szukać – to znajdziemy. Tylko jechać!

«...od Połocka do Farynowa staliśmy już na korytarzu żeby zdążyć wysiąść, bo w Farynowie pociąg stał krótko jak na tamte czasy i tempo podróży, bo całe 10 minut». (...) «Do Zabołocia było 7 wiorst przez lasy, z rzadka przerywane polami». (...)

«Zabołocie było położone na wzgórzu, droga prowadząca do alei kasztanowej pięła się pod górę, rozdzielała na dwoje ramion otaczających ogromny głaz okrągły i spłaszczony, na którym lubiliśmy przesiadywać i zawsze tam oczekiwaliśmy przyjeżdżających gości czy też tych co nadjeżdżali ze stacji Farynowo. Widok z kamienia był rozległy. Przed nami biegła w dół droga, szeroka, gliniasta, rozjeżdżona, z prawej strony, u podnóża pagórka był niewielki staw, a na jego brzegu łaźnia, nieodłączny rekwizyt wsi białoruskiej. Droga przebiegała przez mostek i szła potem równiną otoczoną polami. Po paruset metrach, na rozstajnych drogach stał krzyż, który po kryjomu mój ojciec ze swoim rządcą Mironem Gospodzionok ustawili w nocy, na miejsce starego, wywróconego przez burzę. Po kryjomu, bo władze nie pozwalały wtedy ustawiać nowych krzyży katolickich. Droga skręcała pod ostrym kątem prawie 45° w prawo do Woronowszczyzny i Bykowszczyzny, prosto – biegła lekko zbaczając na prawo, między dwoma brzeźniakami, do Farynowa, a jej lewe rozwidlenie szło poprzez Dubrowkę i Bezdziedowicze... ».



Tadeusz C. URBAŃSKI

Michał przy ul. Anny Missuny w Wietrzynie



Herb rodu Missunów – Kotwica

Zaplanowaliśmy czytanie w terenie z zapadłych fundamentów, układu drzew i stawów – z pozostałości tego, co wznosiło się na wzgórzu przed 1920 rokiem.

«Dwór był drewniany parterowy i słomą kryty, ale wygodny i mogący pomieścić dużo osób. Wchodziło się przez ganek wsparty na czterech kolumnach do przedpokoju. Nad drzwiami wejściowymi wisiał obrazek Matki Boskiej z napisem: «O Maryjo, chroń ten dom i wszystkich co doń wchodzą i wychodzą». (...)

«Podwórze kwadratowe otoczone było budynkami, a więc w środku stał dwór, z lewej strony – kuchnia, piekarnia, mleczarnia, pokoje dla służby, z prawej – stary, też słomą kryty, świren z pięknymi podcieniami. Naprzeciwko dworu – stajnia i wozownia, murowane, kryte gontem. Na prawo między stajnią a świrnem znajdowała się brama wjazdowa prowadząca do alei kasztanowej...» (...)

«Na środku podwórza był okrągły gazon i klomby z piwoniami, hortensjami, różami sztamowymi i karłowatymi oraz mnóstwem różnych kolorowych kwiatów. Na prawo od domu był park. Podwórze otoczone było wokoło starymi jesionami, od których prowadziły do parku dwie długie aleje jesio-

nowe, łączące się ze sobą aleją lipową i rozszerzające się w środku w wielką altanę otoczoną co najmniej stuletnimi, grubymi wyniosłymi lipami. Na środku lewej alei był olbrzymi trzystuletni dąb, którego pnia cztery dorosłe osoby nie mogły objąć. Między alejami opadającymi w dół, a następnie pnącymi się do góry była łąka, a w środku obrośnięta starymi wierzbami sadzawka, zawsze zasnuta rzęsą. Od altany lipowej prowadziła aleja bzów... ».

Planując przed rokiem podróż, byliśmy optymistami właśnie ze względu na ten szczegółowy opis okolicy. Ale równolegle snuliśmy najczarniejsze scenariusze, w których na zabołockim wzgórzu mógł być kołchoz, fabryka lub koszary. Informację o tym ogromnym polodowcowym kamieniu, który stał się dla nas punktem orientacyjnym, mieliśmy jako drogowskaz. Jednak i co do tego były wątpliwości, czy może nie został wyrwany z ziemi na jakiś pomnik czy cokół dla bolszewickiego herosa?

«W Zabołociu było zawsze rojno, poza Babusią i Irką Moraczewską przyjeżdżali na dwa lub trzy tygodnie ciocia Bronia Moraczewska, Iwon Moraczewski i Mamy bracia – wujowie Stefan, Stanisław i Eugeniusz Ossowieccy, bywała także ciotka dr Jadwiga Korzon i ciocia Lunia, żona stryja Wojciecha Missuny...».

W końcu XIX i na początku XX wieku Zabołocie i okoliczne dwory zamieszkiwali Polacy i do tego spokrewnieni, jak to bywało często wśród polskiej szlachty. Adolf Missuna z Zabołocia, dziadek autora wspomnień, miał brata Bolesława, który ożenił się z Katarzyną Koziełł-Poklewską z pobliskiej Bykowszczyzny, rodzoną siostrą słynnego polskiego milionera z Syberii, Alfonsa Koziełł-Poklewskiego. Z tego związku w Zabołociu urodziła się w 1869 roku Anna Missuna, późniejsza pierwsza kobieta geolog, paleontolog i botanik w



DŹWINA. WIDOK NA POŁOCK. POCZĄTEK XX W.

Europie Wschodniej. Tu spędziła dzieciństwo, w Rydze była nauczycielką matematyki i języka polskiego, a po studiach w Moskwie była wykładowcą na moskiewskim Uniwersytecie i Instytucie Geologicznym. Zmarła w Moskwie w 1922 roku.

W Zabołociu przed rokiem 1918 bywali krewni, przyjaciele i znajomi nie tylko na czas wakacji. Z Petersburga przyjeżdżał generał Jan Jacyna (1864 – 1930), żonaty z siostrą jasnowidza Stefana Ossowieckiego, brata Wandy Missuny, matki autora wspomnień. Inżynier chemik Stefan Ossowiecki bywał tu częstym gościem i przyjeżdżał aż z Moskwy, gdzie był właścicielem wielkiej fabryki farb i lakierów, założonej przez jego ojca Jana, asystenta Dymitra Mendelejewa. Matka jasnowidza, Bona z Newlin-Nowohońskich, pochodziła z Kowieńszczyzny.

«Babka, nosząca niezwykle rzadkie imię «Bona», uosabiała w mojej wyobraźni królową Bonę, o której wiedziałem tylko tyle, że była Włoszką, żoną Zygmunta Starego, że nienawidziła swojej synowej Barbary Radziwiłłówny i kazała ją otruć i oczywiście była podobna do Bony na obrazie J. Matejki, na którym dworzanin w ukłonie podaje jej kielich wina. W młodości była bardzo piękna, o czym świadczyły liczne jej fotografie i portrety. Portretował ją Żmurko (portret ten spalił się w czasie Powstania Warszawskiego w mieszkaniu Stefana Ossowieckiego przy ul. Marszałkowskiej 17) i Jan Matejko. Bez mojej wiedzy babka w 1938 r. sprzedała ten ostatni portret Muzeum Narodowemu, wisi on obecnie w Muzeum w Gdańsku. Babka królowała na Bolszoj Gruzinskoj trzymając żelazną ręką męża, dzieci i służbę».

Pałacyk Ossowieckich przy tej ulicy w centrum Moskwy istnieje do dziś. Niedaleko mieszczą się ambasady Polski i Niemiec. A fabryki z całym majątkiem oczywiście przepadły po 1917 roku...

* * *

Jest drogowskaz: Woronowszczyna Dwór! To znaczy, że jesteśmy prawie na miejscu! Zabołocie, albo co z niego pozostało, powinno być w zasięgu wzroku. Ale żadnego wyraźnego wzgórza nie widzimy. Kępy drzew na niedalekich pagórkach, łagodnie pofalowane pola i gdzieś daleko pasące się wielkie stado krów. Miejsco-



DĄB Z MAJĄTKU MISSUNÓW PRZETRWAŁ ZAWIERUCHY DZIEJOWE

wość Woronowszczyna Dwór to chałupa ogrodzona wiejskim płotem, poszarzała ze starości, z anteną telewizyjną na eternitowym dachu. Przed domem samochód, a na zapleczu kilka skromnych zabudowań gospodarczych. Tu musiało być kiedyś zwykłe wiejskie gospodarstwo, część tej prawdziwej Woronowszczyzny Szystowskich. Ale po dworze ani śladu.

«Jeśli chodzi o sąsiedztwo, to odwiedzaliśmy 4 najbliżej położone majątki; Woronowszczyznę – Szystowskich, Bykowszczyznę – Poklewskich-Koziełł, Rżawiec – Laskowskich i Ujście – ciotki Tekli Dziedzielowej. Najbliżej położona była Woronowszczyzna, dokąd zwykle chodziliśmy piechotą, bo oddzielał nas niecały kilometr. Po drodze był mały cmentarzyk, na którym pochowani byli Missunowie i Szystowscy».

Zatrzymujemy się przed domem, z którego przywołana przez dzieci wychodzi starsza, z wiejska ubrana kobieta. Kiwa ze zrozumieniem głową na wieść, że szukamy jakichś miejsc sprzed lat – Zabołocia, kamienia, cmentarza, czy wielkich drzew. Może pomyślała o swojej rodzinnej okolicy, którą jako wysiedlona zostawiła gdzieś daleko, by uchronić życie w czasach stalinowskich? Tutaj miejscowi często nie chcą mówić o czasach przedwojennych. Jeśli jakieś wspomnienia, to najdalej z ostatniej wojny, a i to ostrożnie, bo nie wiadomo, kto przyjechał i w jakim celu pyta.

Ale rozmawiamy mając ich za tutejszych i ufając w ich wiedzę. Czy ktoś tu pamięta stare czasy? Właśnie my Paliaki, gdzieś ze świata, poszukujący dalekiej przeszłości i oni, dla których dawno – to lat temu pięćdziesiąt, a może nawet tylko dwadzieścia. Wychodzi z domu mężczyzna mówiący po rosyjsku z ukraińskim, jak się wydaje akcentem, a «babuszka», (prawdopodobnie matka) czysto po rosyjsku. Mówi, że gdzieś tam za Bykowszczyną mieszka jakaś stara kobieta (zapewne autentyczna miejscowa), może ona coś wie, a żadnego wielkiego kamienia w najbliższej okolicy nie ma. Ona tu sama przyjezdna, z Połocka, na daczę... Kilka starych dębów jest niedaleko, stawy również. My zaś przekonani, że jesteśmy tuż tuż, nie chcemy się oderwać od tej chałupy, od płotu, od tych ludzi, jakby oni byli jedynym źródłem przydatnej nam wiedzy o okolicy. Wszak Zabołocie jest z pewnością po prawej stronie drogi, ale nie wiemy, jak tam dotrzeć. Sytuacja jest beznadziejna i nie pomogą tu dostępne arcynowoczesne środki w postaci GPS-u czy satelitarnych fotografii z Google.

Posiadłość rodu Missunów przepadła w historii, a jedyną wskazówką to tekst wspomnień. To wciąż za mało, by odnaleźć fundamenty dworu, okazały dąb, dwa stawy czy sady owocowe. Ale czy jabłonie żyją sto lat? I gdzie jest ten kamień?

«Kamień ten miał swoją legendę. Ojciec opowiadał, że któryś z moich przodków, którego żona chorowała, a leczył ją doktor z Połocka, gdy kuracja nie pomogła i chora zmarła, oczekiwał na przyjazd lekarza przy tym kamieniu, a gdy nadjechał kazał go na tymże kamieniu swoim parobkom obić».

Ogromny kamień powinien przecież gdzieś być. Łatwiej by było odlać podobny z cementu niż ten wykopywać z ziemi. Znów pytamy.

– Nie takiego wielkiego to tu nie ma. W Połocku jest taki stary, z napisami, przy kościele, ale tu nie... Ale tu niedaleko przywieźli kiedyś kamień z napisem dla jakiejś pani archeolog... – dodaje. Spoglądam na Michała i... dech nam zaparło! Już wiemy, że czeka nas niespodzianka. Przywołuje wnuka i każe mu przeprowadzić nas przez pola.

Rzeczywiście, idziemy na przełaj, może 600 metrów, przez pole, później pokonując rowy, krzaki i obok sadu starych kwitnących jabłoni wychodzimy na niewielką polankę, gdzie stoją niedopalone fragmenty dwóch małych domów. Do jednego z nich wciąż doczepiony jest kabel wysokiego napięcia z pobliskiego słupa.

– Jeszcze niedawno w tych domach mieszkali jacyś ludzie. Ale się spalili. To tu – mówi po rosyjsku chłopiec, wskazując na resztkę starego kamiennego fundamentu, na tle którego postawiono duży kamień z przykręconą metalową tablicą informującą po białorusku:

Siedziba
Zabołocie
Tu urodziła się
Hanna Misuna
Nasza pierwsza kobieta –
Geolog, naukowiec
1868 – 1922

Ktoś wczoraj czy przedwczoraj, zatknął za tablicę kilka drobnych, polnych kwiatków. Kto to był i czym się kierował schylając po te kwiatki? Z jaką myślą wetknął je za tablicę? A może to było tylko dziecko, kojarzące tablicę na kamieniu z grobem?

Przeczytaliśmy inskrypcję, ja idę szukać dalej, a Michał usiadł na kamieniu, zapalił papierosa i przeniósł się na kwadrans w świat pradziadów. To było dla niego mocne przeżycie. Dotarł do swojej prywatnej, białoruskiej Atlantydy.

– W jednej chwili przypomniałem sobie wszystkie rodzinne opowieści dotyczące tego miejsca, przekazy, a nawet nieistotne drobiazgi, których ojciec nie uważał za stosowne opisać we wspomnieniach. Siedząc na kamieniu, z wyrytą w metalu nazwą Zabołocie, której zawsze szukałem przeglądając mapy północnej Białorusi, zbliżyłem się do przeszłości gnany sentymentem rodzinnych przekazów. Dzięki odnalezieniu pramiejsca mojej rodziny, widzę tych wszystkich ludzi w konkretnym punkcie. Oni w większości rodzili się w domu na tym wzgórku między dwoma stawami, w miejscu zwanym Zabołociem, bez wspominania którego, odkąd sięgam pamięcią, nie obeszły się żadne spotkania rodzinne.

– Ojciec marzył o tym, by przyjechać tu choć raz i odetchnąć powietrzem dzieciństwa ale zmarł w 1977. Tylko on mógł powiedzieć, jak tu było, gdzie stały poszczególne zabudowania. Dziś, nie można już zrekonstruować przeszłości sprzed czterech pokoleń. Tekst i fotografie, które mi pozostawił, wyjaśniają wiele, ale nie wszystko. Szukałem Zabołocia, konkretnego pagórka, kawałka ziemi, myśląc naiwnie, że zdołam odtworzyć przeszłość sprzed stu lat. A tu ona wyszła ku mnie naprzeciw mimo ogromnej porcji historii i lokalnej geografii. Jestem zaszokowany również tym, że napisano iż była to posiadłość Missunów. A to wszystko dzięki mojej sławnej stryjecznej prababce Annie.



Tadeusz C. URBAŃSKI

Tablica upamiętniająca Annę Missunę – słynną geolog, stryjeczną prababkę bohatera

Znaleźć coś z dawna zapomnianego, to nie tylko miła przygoda, jaka się czasami trafia, gdy tropimy po śladach przeszłość. Nawet, gdy po trzydziestu latach wracamy w pamiętne miejsce, staramy się tę przeszłość odtworzyć, a nawet jej dotknąć. A czy rozmyślając w takim miejscu, nie zatracamy się we wspomnieniach? Nie wypatrujemy znajomych sylwetek i twarzy?

«Do Ujścia jechało się przez wieś Dubrowki, koło białej cerkiewki, przez niekończące się lasy, koło majątku Bezdziedowicze, będącego letnią siedzibą generał-gubernatora witebskiego hr. Rimskiego-Korsakowa, przy czym Ojciec mi mówił, że wszystko to należało kiedyś do Missunów, lecz zostało po 1863 r. zasekwestrowane przez rząd carski».

To rodzinna okolica Michała, chociaż urodził się w Warszawie, ale z pewnością kraj rodzinny jego ojca Olgierda i większości Missunów od wielu pokoleń wstecz. Ojciec czuł się Polakiem mimo poddaństwa obcemu cesarzowi. Tak opisuje wnętrze domu w Zabołociu.

«Drzwi z przedpokoju na prawo prowadziły do dużego salonu. Miał on trzy okna od frontu i jedno boczne, umeblowany był starymi meblami w stylu Ludwika Filipa, krytymi jedwabiem koloru starego złota, zaraz przy drzwiach na prawo stał stary palisandrowy fortepian, na ścianach wisiały litografie przedstawiające Napoleona, Kościuszkę, Kilińskiego, Mickiewicza, widoki Wilna i jego okolic. Na wprost z przedpokoju był duży stołowy, a na jego ścianach kolorowane litografie ilustrujące pamiętniki Jana Chryzostoma Paska w mahoniowych ramkach, na prawo drzwi prowadziły do dwóch gościnnych pokoi, na wprost na dużą oszkloną werandę (dobudowaną gdzieś w 1912 roku), w której jak było ciepło jadaliśmy wszystkie posiłki».

Po dworze nie został żaden ślad. Orientujemy się gdzie stał, bo przecież był odwrócony tyłem do stawu. Dzięki temu rozpoznajemy spalone ruiny dawnej piekarni, gdzie czerni się zwał starych, osmalonych cegieł.



W tym miejscu był mostek...

Trzeba nam dalej, a należałoby zostać jeszcze dłużej, żeby najdokładniej odtworzyć w terenie całe obejście, przekonać się, czy istnieją resztki innych budynków poza fundamentem świrona, popatrzeć po bujnych zaroślach, obejść obydwa stawy, odnaleźć resztki czterech lip, które wyznaczały ongiś altanę.

– Zapomniałem... – mówi Michał. – Ten kamień po prababce wytrącił mnie z równowagi historyczno-rodzinnej. Nie zabrałem nawet garści ziemi spod progu domu i całkiem zapomniałem dokładniej poszukać cmentarza. Zanim tu przyjechałem, marzyłem, że może coś jednak zostało. Coś, czego można dotknąć...

W drodze powrotnej odwiedzamy Bykowszczyznę i inne wioski. Ale wciąż ciągnie nas do Zabołocia. Przejeżdżając przez miasteczko Wietrzyn, na skrzyżowaniu zauważamy kamień, jakby podobny do tego z Zabołocia. Na sztucznym pagórku stoi prawie identyczny, również z tablicą głoszącą po białorusku:

Ulica
Hanny Misuny
Na cześć pierwszej
Kobiety– geologa
Naszej rodaczki

Jeszcze raz chcemy rzucić okiem na Zabołocie, idąc zgodnie z opisem, tak jak się należy, od strony drogi.

«...przed Zabołociem była góra, na którą Kazimierz wjeżdżał zawsze galopem, przed górą z lewej strony staw, nad nim łaźnia, a zaraz za nim zaczynał się park. Mijaliśmy wielki kamień i wjeżdżaliśmy w aleję kasztanową, prowadzącą do dworu. Słychać było gwałtowne ujadanie psów, pojazd wjeżdżał w bramę, skręcał w lewo, szybkim kłusem objeżdżał okrągły gazon i zatrzymywał się przed gankiem».

Wiadomo, że dzieciństwa się nie gubi i pozostaje ono jedynym punktem stałym na resztę życia. Odniesieniem do dorosłości, wspomnieniem dającym pożywkę na dalsze lata. Warto je mieć dla siebie, bo staje się ono tym ważniejsze, im jesteśmy starsi. Tylko dla młodzieży jest bezwartościowym wstępem do wczesnej dorosłości. Tyle można opowiedzieć o ojcu Michała. Pozostawił jedynakowi spisaną historię rodu i najpełniejszy wybór z pamięci wszystkich informacji o sobie i o rodzinnym gnieździe – Zabołociu na Białorusi.

Historia wyznaczyła tym terenom ciężkie dzieje. Siedlisko spalone zostało w 1920 roku. Wzgórze jest poorane nierównościami i nie przypomina równego terenu bogatego obejścia dworskiego. Ale dzięki opisowi ze wspomnień Olgierda Missuny, dębu, fundamentów świrona i ruin piekarni, zorientowaliśmy się co do rozkładu budynków. Obejście nie było aż tak rozległe, jak sugerowała dziecięca optyka autora.

Opisywane wzgórze zapewne było wyższe, wyraźniejsze, gdyż przez 90 lat było spłukiwane deszczami i topniejącym śniegiem. Dlatego nie widać go z drogi. Poza tym, opisywane było po latach, z dziecięcej perspektywy, gdy nie było aż tak wysokich drzew i były zabudowania. Droga prowadząca do dworu była od 1920 nieużywana i zarosła, zatem nie mogliśmy jej zauważyć by skręcić do Zabołocia zgodnie z opisem.

Aleja kasztanowa całkiem zanikła. Co prawda na jej miejscu rosną trzy spore kasztanowce, które jakby na pocieszenie usiłują pilnować dawnego traktu i porządku przed wjazdem w bramę. Te drzewa były świadkami (dla nas, nie dla innych), że niegdyś było tu zupełnie inaczej. Zresztą po bramie nawet drzazga nie została.

Koniec odwiedzin. Wracamy, żegnając utrwalone w metalu Zabołocie, przekraczamy nieistniejący różany gazon, dalej przez wyimaginowaną bramę mijamy trzy kasztanowce, wchodzimy na starą drogę o ledwo widocznych zarosłych koleinach. Zaraz po lewej duży pagórek. To nasz drogowskaz, kamień, który przez te lata pokrywały okłady ze spadłych liści, mchu i nawianej ziemi. Zupełnie na tym bezludziu zanikł pod porosłą trawą.

PS. Okazało się, że kamień nie był taki ogromny. Istnieje do dziś jako płyta nagrobna na pobliskim cmentarzu ■

Pamiętamy o ziemi ojczystej

O działalności Stowarzyszenia Rodzin Ziemi Wołkowyskiej w Gdańsku

Przemysław MIKUSIŃSKI

Po wojnie, a dokładnie od lata 1945 roku, wiele rodzin polskich z Wołkowyska i okolic z bólem w sercu opuszczało ziemię ojczystą, zostawiając dobytek całego życia, groby przodków. Wyjeżdżali do Polski, przeważnie na ziemie odzyskane na teren Pomorza i Ziemi Lubuskiej, jak sporadycznie i na inne tereny Polski. W nowym miejscu zaczynali nowe życie...

Pod koniec lat 80. w Polsce rozpoczęły się prawdziwe przemiany demokratyczne w życiu politycznym i społecznym. Powstawały różne stowarzyszenia kresowe, skupiające rodaków kresowiaków. W roku 1991 grupa inicjatywna w Gdańsku postanowiła założyć Stowarzyszenie Rodzin Ziemi Wołkowyskiej. Byli to Zdzisław Puchaczewski, Kazimiera Bućko, Witold Jankowski i Danuta Kaps-Borżym. Funkcję zarządu pełnił komitet założycielski jako zarząd tymczasowy na czele z doktorem medycyny nieżyjącym już Witoldem Jankowskim. Zarząd zwrócił się z apelem do wszystkich osób związanych z Ziemią Wołkowyską, by przychodziły do Stowarzyszenia.

Pierwsze walne zebranie Stowarzyszenia odbyło się 16 listopada 1991 roku w salce kościoła w Gdańsku-Wrzeszczu. Jednym z głównych celów działania



Jarmark przed kościołem św. Wacława w Wołkowysku. Lata 20. XX w.

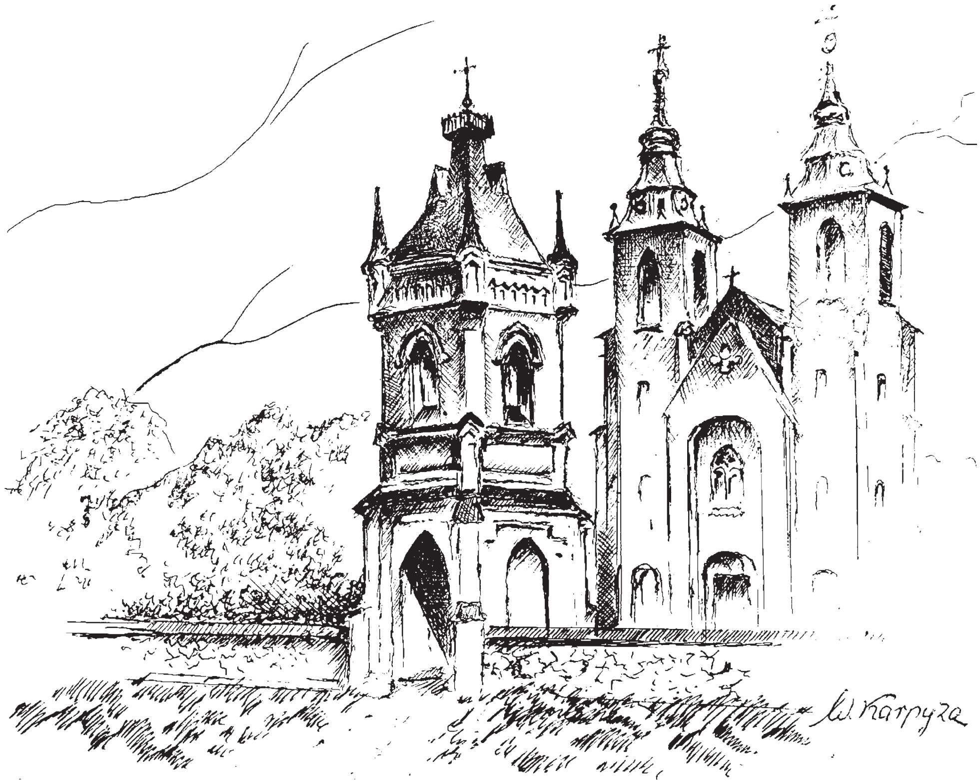
Stowarzyszenia była pomoc rodakom mieszkającym dalej na Ziemi Wołkowyskiej oraz wsparcie ich w odradzaniu tożsamości narodowej, tradycji polskich, kultury i języka ojczystego. Prezesem stowarzyszenia został wybrany Zdzisław Puchaczewski, który tę funkcję pełnił do 1993 roku (również już odszedł). Po nim prezesem został Edmund Popieliński, który jest prezesem po dzień dzisiejszy.

Na samym początku Stowarzyszenie liczyło około 50 osób, potem było nawet ponad 160 członków. Obecnie w Stowarzyszeniu działa około stu osób, w międzyczasie wielu odeszło na wieczny spoczynek z uwagi na wiek i choroby.

W naszym Stowarzyszeniu są osoby z całego kraju, które pochodzą z Wołkowyska i okolic.

Mamy swój statut i okrągłą pieczęć, w jej środku jest herb miasta Wołkowyska – głowa wilka odwrócona w prawą stronę. W Olsztynie działa Koło podległe naszemu Stowarzyszeniu, skupiające kilkadziesiąt osób.

Członkowie Stowarzyszenia nie zapominają o swoich korzeniach i co roku odwiedzają ziemię ojczystą. Pomagamy Polskiej Szkole w Wołkowysku, która została wybudowana ze środków Wspólnoty Polskiej. Wspieramy też świątynie katolickie. W kościele św. Wacława nasze Stowarzyszenie ufundowało tablicę pamiątkową poświęconą żołnierzom – mieszkańcom ziemi Wołkowyskiej poległym w czasie II wojny światowej. Druga zaś tablica upamiętnia 3. Pułk Strzelców Konnych, stacjonujący w Wołkowysku, żołnierze którego walczyli o niepodległość Polski w latach 1815-1939. Wmurowano ją w 1995 roku wewnątrz Bazyliki Mariackiej w Gdańsku. Dzięki naszym staraniom mamy w Gdańsku ulicę Wołkowyską, jesteśmy z tego bardzo dumni.



Kościół w Mścibowie. Rys. Witolda Karpyzy

Stowarzyszenie też pomaga młodzieży z Polskiej Szkoły w Wołkowysku, która dostała się na studia głównie w Trójmieście. Co roku na zaproszenie Stowarzyszenia przyjeżdża w pierwszych dniach wakacji grupa dzieci z tej szkoły, która zwiedza Trójmiasto i okolice.

Stowarzyszenie wydało album rysunków i szkiców «Zabytki Ziemi Wołkowyskiej» autorstwa Witolda Karpyzy. Zorganizowano też wystawę jego rysunków, która wędrowała przez Trójmiasto, Lębork, Kudowę Zdrój, Pułtusk i Elbląg aż trafiła do Domu Polskiego w Wołkowysku, gdzie znajduje się do dziś.

O istnieniu Stowarzyszenia dowiedziałem się z «Gazety Lubuskiej», która ma dodatek «Kresy». Zgłosiłem więc swój akces i otrzymałem legitymację nr 137. Dopiero po przeprowadzce do Lęborka bardziej zaangażowałem się w działalność Stowarzyszenia. Przez jedną kadencję byłem przewodniczącym Komisji Rewizyjnej. Zorganizowałem wystawę rysunków Witolda Karpyzy w Lęborku i Kudowie Zdroju. Dwukrotnie w latach 2000 i 2009 sprowadziłem młodzieżowy zespół «Jutrzenka» z Wołkowyska do Polski organizując im wycieczki i koncerty. Występy «Jutrzenki» podbiły serca rodaków w Polsce.

Od kilku lat organizuję wyjazdy do Wołkowyska. Tu odwiedzamy swoje rodziny i groby na cmentarzach. Mamy też zawsze spotkanie w Polskiej Szkole w Wołkowysku, do której przywozimy książki do nauki, literaturę piękną, środki czystości i inne przydatne rzeczy. Wyjeżdżamy również w teren, żeby zobaczyć, co się zmieniło od naszego ostatniego pobytu, a przy okazji pogłębiając naszą wiedzę na temat historii Kresów. O naszych wyjazdach i na tematy historyczne piszę czas od czasu na łamach «Gońca Kresowego».

Jednym z ważniejszych osiągnięć naszego Stowarzyszenia jest wydanie pięciu tomów historii Ziemi Wołkowyskiej, cztery pod redakcją Witolda Karpyzy, ostatni już po śmierci pana Witolda ukazał się pod moją redakcją ■

Perła Polesia

DYMITR ZAGACKI

Brześć to największe miasto zachodniego Polesia. Jednak za prawdziwą stolicę tego regionu jest uznawany Pińsk – miasto położone nad rzeką Piną, dopływem Prypeci i liczące 915 lat historii. Znajduje się w samym centrum Polesia.

Trafić do Pińska można kilkoma szlakami – z Brześcia, Baranowicz, albo nawet z Mińska, choć ta droga jest najdłuższa.

Jeszcze w czasach II Rzeczypospolitej Pińsk i jego okolice przyciągały do siebie gości z całej Polski. Historyk, etnograf, fotograf – każdy mógł tu znaleźć coś dla siebie. Plonem fascynacji Polesiem z lat 30. XX wieku są liczne informatory turystyczne, w których sporo miejsca poświęcono poleskiej stolicy.

Michał Marczak w swoim «Przewodniku po Polesiu» tak pisze o początkach miasta: «Znachodzą się o nim wzmianki w kronikach ruskich w odniesieniu do końca XI w. Przez kilka wieków stanowił własność dzielnicowych kniaziów turowsko-pińskich lub pińskich z rodu Ruryka i w owym okresie często przechodził z rąk do rąk. Brak lub chaotyczność źródeł dziejowych nie pozwalają nie tylko na ustalenie chronologii poszczególnych panowań władców, ale nawet na zestawienie ich imion».

Ten teren od dawna przyciągał uwagę Litwy. «Bardzo wcześnie Litwa zaczęła się mieszać w zatargi między sąsiednimi ruskimi książętami i niektórych zdołała sobie schołdować – podaje Marczak.



TARG NAD PINĄ. FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

– Po opanowaniu przez Gedymina ziem ruskich wraz z Kijowem w 1320 r. księstwo pińskie jako lenno dostało się jego synowi Narymuntowi, którego potomkowie władali niem aż do drugiej połowy XV w. Po nich lenno pińskie otrzymali kniaziowie Olelkowicze, z których ostatnim był Fedor Olelkowicz, zmarły w 1521 r. Król Zygmunt Stary nadał rozległe dobra pińskie żonie swej Bonie, która je wspaniale zagospodorowała. Ona to pierwsza kazała kopać kanały, osuszała i zaludniała krainę szlachtą polską. W okresie długiego pokoju i bezpieczeństwa w ciągu XVI i pierwszej połowy XVII w. miasto świetnie się rozwinęło, rozbudowało i zaludniło. Zamieszkiwali je Rusini, Ormianie, Żydzi i najmniej liczni Polacy, wśród nich szlachta, mająca tu swoje jurydyki...».

Dzieje poleskiego miasta były czasami dramatyczne. «Hasła rebelii Chmielnickiego znalazły u części pińszczan łatwy posłuch – pisze w «Przewodniku» Michał Marczak. – Gdy tedy zjawili się pod Pińskiem rebelianci pod pułkownikiem Niebabą, dyzunici ułatwili im opanowanie grodu, mordując i rabując żydów i katolików bez oszczędzania świątyń i duchowieństwa. Dla stłumienia buntu hetman polny książę Janusz Radziwiłł wysłał odział wojska pod regimentarzem Jelskim, który wziął szturmem miasto, mimo zaciekłej obrony, 9 sierpnia 1648 r., pozwalając czeladzi na rabunek. Skutki zdrady odbiły się dotkliwie tylko chwilowo na Pińsku, bo następne lata przy życzliwości monarchów i panów litewskich pozwoliły rany zagoić. W 50 lat później dał się znów



Dymitr ZAGACKI

Kolegium jezuickie

miastu we znaki najazd szwedzki i opanowanie Pińska przez Karola XII w r. 1706».

W drugiej połowie XVIII w. Pińsk znacznie się ożywił, a to dzięki pracom kanalizacyjnym, jakie podjęli na Polesiu hetman Ogiński i sędzia Butrymowicz. Prace te oglądał król Stanisław August Poniatowski, który specjalnie wybrał się do Pińska w roku 1784, by na własne oczy zobaczyć ich przebieg.

Pińsk otrzymał w roku 1581 prawo magdeburskie, co dało mu nowy bodziec dla rozwoju. Powstało starostwo grodowe, w mieście odbywały się sądy ziemskie. Miasto liczyło niegdyś wiele świątyń katolickich, cerkwi unickich i prawosławnych; jeszcze w 1832 r. przed ich masową kasacją przez carat istniały tu kościoły: jezuicki, franciszkański, dominikański, bernardyński, karmelicki, pokomunistyczny (bartolomitów), mariawitek, bazyliański męski i żeński.

Koniec XIX wieku to dla miasta okres rozwoju handlu i przemysłu. Wtedy to właśnie jeden z największych na Polesiu posiadaczy ziemskich Aleksander Skirmuntt wybudował w Pińsku fabrykę świec i mydła, która była jedną z największych w cesarstwie rosyjskim. Syn Aleksandra Zygmunt wybudował hutę żelaza, w mieście istniała także fabryka zapałek. W 1882 roku do Pińska i dalej do Łunińca doprowadzono linię kolejową.

W 1900 roku Pińsk liczył 30 tysięcy mieszkańców, z czego większość stanowili Żydzi. Tu uczęszczał do gimnazjum pierwszy prezydent Izraela Chaim Wejcman, dzieciństwo spędziła urodzona w Kijowie późniejsza premier Izraela, Golda Meir. W 1932 roku w Pińsku przyszedł na świat znany polski dziennikarz, reporter i pisarz Ryszard Kapuściński.

W 1921 roku po zawarciu pokoju ryskiego Pińsk powrócił do Polski i stał się stolicą województwa poleskiego, jednak po wielkim pożarze w tym samym roku siedzibę władz wojewódzkich przeniesiono do Brześcia. Tak już pozostało do 1939 roku, a Pińsk spadł do roli miasta powiatowego. W okresie międzywojennym Pińsk na krótko odzyskał rolę ważnego węzła dróg wodnych – wznowiono komunikację towarową i pasażerską.

Nawet Adam Schmuk, autor wydanej w 1937 roku książki «Od Pińska da Augustowa kajakiem», opisując Pińsk zaznaczał, że «ruch i życie obserwować można w porcie».



DAWNY PAŁAC BUTRYMOWICZÓW

W przeciwieństwie do Brześcia Pińsk zachował stosunkowo wiele pamiątek nie tylko z lat międzywojennych, ale i z dawnej przeszłości. Najśliczniejsze skupiają się przy obecnej ulicy Lenina (dawnej Tadeusza Kościuszki). Część ulicy jest przeznaczona wyłącznie dla ruchu pieszego. Niewielki odcinek na wylocie ulicy do dziś zachował przedwojenną sześciokątną płytę betonową nazywaną trylinką (od nazwy wynalazcy Władysława Trylińskiego).

Właśnie w tej części miasta wznosi się nad Piną ogromny XVII-wieczny zespół dawnego kolegium jezuickiego. Nauka zarówno dla osób świeckich jak i duchownych trwała w nim przez 12-13 lat. Sale wykładowe i korytarze, bibliotekę, salę teatralną, kaplicę zdobiły rzeźby, cenne ikony i portrety założycieli. Wykładali tu m.in. historyk i poeta ks. Adam Naruszewicz, publicysta i pedagog Anastazy Ludwik Kierśnicki, filozof i pedagog Karol Wyćwicz. Mury kolegium pamiętają Andrzeja Bobolę, jezuitę, który w 1657 roku poniósł śmierć męczeńską z rąk kozaków. Został kanonizowany przez papieża Piusa IX.

Obecnie w gmachu kolegium mieszczą się Muzeum Polesia Białoruskiego oraz kilka urzędów. Wcześniej obok kolegium znajdował się kościół Jezuitów wzniesiony także w XVII wieku w stylu barokowym staraniem starosty pińskiego Stanisława Albrechta Radziwiłła. Do roku 1808 w podziemiach kościoła znajdowała trumna z ciałem św. Andrzeja Boboli. Ogromny, dwuwieżowy kościół był niegdyś najbardziej okazałą budowlą w Pińsku.

Józef Ignacy Kraszewski we wspomnieniach z Polesia tak opisywał przybycie do miasta: «Nareszcie zbliżamy się do Pińska, gwiazdy swoich okolic, miasta, które z Białem i Czarnem morzem ma związki, siedzącego jak żyd bankier na wielkim gościńcu, po kolana w błocie, na worku soli, z trzosem rubli. Z daleka naprzód pokazuje się wieża ex-jezuickiego kościoła...». Niestety, świątynia nie przetrwała do naszych czasów. Proces jej niszczenia rozpoczął się od razu po wkroczeniu w 1939 roku Armii Czerwonej i trwał do 1956 roku, kiedy budynek został całkowicie zrujnowany. Według opinii władz wspaniała świątynia nie miała wartości historycznej...

Po obejrzeniu gmachu kolegium warto udać się na most nad Piną, skąd można nacieszyć oczy panoramą starego miasta. Po prawej stronie, akurat pod murami kolegium, przed wojną odbywały się słynne targi nad Piną. Tu znajdowało się wszystko, czym było bogate Polesie: gęsi, kury, kaczki, indyczki, w klatkach wieprzki, kózki na sznurku, siano, wiązki trzcin. A ryby tylko świeże, prosto z wody. Po drodze można obejrzeć gliniane garnki, garnuszki, kubeczki, gąsiory. A dalej stały dzieże, cebry, szafliki, balie. Z drewna były łyżki, tłuczki, stołki, etażerki i jeszcze szczotki, pędzle, miotły. Stały stosy koszów z wikliny, łyka, łubianki, wszystkiego nie można wyliczyć. Między towarem zawsze był tłum ludzi oglądających, spacerujących, popychających się, targujących się, przekomarzających i swarzących się.

Po lewej stronie mostu widać

kościół i klasztor OO. Franciszkanów. Znajduje się tam jedna z najstarszych na Białorusi świątyń katolickich mieszcząca się w kościele fundacji księcia pińskiego Zygmunta Kiejstutowicza z 1396 roku. Wzniesiona pierwotnie w stylu gotyckim, w ciągu wieków świątynia kilkakrotnie była przebudowywana, tak więc straciła z czasem stylową czystość. Obecnie to katedra, jest budowlą trójnawową z przybudowanymi kaplicami i półkoliście zamkniętym prezbiterium, nakrytą wysokim dachem. Na styku nawy i prezbiterium wznosi się sygnaturka z barokową kopułą. Boczne nawy są bardzo wąskie i znacznie niższe od głównej. Dzwonnica przed kościołem pochodzi z 1817 roku. W murach dawnego klasztoru franciszkańskiego zlokalizowane jest obecnie Wyższe Seminarium Duchowne im. św. Tomasza z Akwinu.

W 1992 roku do godności biskupa i administratora apostolskiego diecezji pińskiej podniesiony został wieloletni proboszcz miejscowej parafii Kazimierz Świątek, potem kardynał i do 2006 roku metropolita mińsko-mohylewski. Jedna z miejskich ulic dzisiaj nosi jego imię.

Kolejną atrakcją ulicy Lenina i jej okolic są polskie szyldy z okresu międzywojennego. Byłem zaskoczony widokiem tych pozostałych śladów po II Rzeczypospolitej, przecież je celowo niszczono. Jeden z szyldów pozostawiono na ścianie dawnego Hotelu Angielskiego. Niegdyś w tym budynku, jak wskazuje szyld, mieściła się sprzedaż komisyjna Goldbergów. Zaś szyld na froncie budynku oddziału oświaty podpowiada, że przed wojną tu się mieściło Państwowe Gimnazjum Męskie.

Będąc w Pińsku, warto odwiedzić pałac Butrymowiczów zwany Murem. Został zaprojektowany przez wileńskiego architekta Karola Schildhausa dla sędziego grodzkiego Mateusza Butrymowicza, jednego z inicjatorów budowy Kanału Ogińskiego i Kanału Królewskiego, dzięki czemu Pińsk uzyskał połączenie wodne z Bałtykiem. W uroczystości wbudowania kamienia węgielnego w 1784 roku uczestniczył król Stanisław August Poniatowski. Budowę ukończono w 1790 roku, trzy lata przed zajęciem Pińska przez wojska rosyjskie. Po śmierci Butrymowicza pałac odziedziczyła jego córka Józefa zamężna za Michałem Ordą (ojcem Napoleona Ordy), później własność przeszła na Skirmunttów. Wnuczka Hortensji Skirmunttowej, Konstancja Skirmuntt, była znaną publicystką. W latach 2007 – 2009 zabytek przeszedł renowację, obecnie w pałacu mieści się urząd stanu cywilnego.

> *W Pińsku warto odwiedzić pałac Butrymowiczów zwany Murem, zaprojektowany przez wileńskiego architekta Karola Schildhausa*

Następny ciekawy zabytek z okresu dawnej Rzeczypospolitej mieści się przy ulicy Kirowa. Jest to barokowy kościół św. Karola Boromeusza. Kościół wzniesiono w latach 70. – 80. XVIII w. dla zgromadzenia świeckich księży bartolomitów, zwanych również bartoszkami lub komunistami, których rozlokowano w Pińsku w 1695 roku. Po rozbiorach Rzeczypospolitej zgromadzenie zostało skasowane, a świątynia została przejęta przez Cerkiew prawosławną. Po włączeniu Pińska do Polski w 1920 roku budynek zwrócono katolikom. Po wojnie kościół znowu zabrano wiernym. W roku 1989 świątynia przeszła gruntowny remont, po którym ulokowano w niej salę koncertową.

Zachowało się w Pińsku sporo budynków w stylu secesyjnym. Warte są obejrzenia m.in. budynek pierwszego w Pińsku kina «Kasyno» (dzisiaj Poleski Teatr Dramatyczny) oraz gmach Banku Azowsko-Dońskiego. Ostatni jest jednym z najpiękniejszych domów w Pińsku, szczególnego uroku gmachowi dodaje fasada nasycona architektonicznymi detalami, zwieńczona figuralnymi attykami, co robi dawny bank podobny do weneckiego palacco.

W Pińsku nie brakuje również zabytków z okresu międzywojennego. Najbardziej zasługują na uwagę neoklasyczny gmach Banku Polskiego przy ulicy Zasłonowa, zbudowany w 1925 roku przez architekta Stanisława Szcześniaka, willa Gregorowicza, właściciela najpopularniejszej w Pińsku cukierni nad brzegiem Piny oraz sam budynek dawnej cukierni, której reklama niegdyś polecała konsumentom «najlepsze ciastka, czekoladę, torty i cukry».

Warto dodać, że większość ludności Pińska przed wojną stanowili Żydzi, zajmujący się handlem, różnymi rzemiosłami. W 1939 roku pińska społeczność żydowska miała do dyspozycji 42 obiekty kultu religijnego – synagog i domów modlitewnych. Prawie wszystkich miejscowych Żydów wytracono w czasie II wojny światowej. Dzisiaj w mieście działa tylko jedna synagoga z XIX w. znajdująca się w dawnym domu modlitewnym rabinów Pierłowych ze znakomitej dynastii, wywodzącej się od Aarona I Karlińskiego – założyciela religijnego nurtu «chasydyzmu karolino – stolińskiego».

Taki jest Pińsk, miasto o bogatych, ale i dramatycznych dziejach, posiadające zadziwiające zabytki i przepiękne krajobrazy. Warto zatrzymać się w Pińsku na kilka dni, żeby poznać zabytki poleskiej stolicy, popłynąć rzeką Piną, a potem wyruszyć w teren, by zobaczyć słynne moczary i poczuć Polesia czar ■

Tragiczny rok 1944

Mieczysław JACKIEWICZ

Kiemieliszki przechodzą z rąk do rąk

W drugiej połowie kwietnia 1944 roku Kiemieliszki zostały opanowane przez polskich partyzantów. Jak bardzo myśmy się cieszyli! Na krótko mieliśmy prawdziwą Polskę. A Sowietów nie widzieliśmy. Polscy partyzanci byli bardzo grzeczni i kulturalni. Przychodzili często do nas i prosili o jedzenie. Myśmy chętnie ich karmili. Czasami zostawiali nam pokwitowania, które mieliśmy okazywać władzom polskim po wojnie.

W końcu kwietnia, w niedzielę, przybył do Kiemiliszek duży oddział partyzantów, część z nich na koniach. Okazało się, że to «Łupaszko» przybył z swoją 5. Brygadą do miasteczka, bo tu miała się odbyć uroczysta przysięga nowych żołnierzy.

Po Mszy świętej, w której uczestniczyli partyzanci, na plac rynkowy przyszedł ksiądz Wojniusz w komży, że stułą i krzyżem w dłoni. Komendant uszeregował wszystkich żołnierzy w dwuszereg, z boku stanął szwadron konnicy. Młodym żołnierzom, których było około trzydziestu, rozkazał wystąpić z szeregu. Szef sztabu odczytał rotę przysięgi, a każdy żołnierz powtarzał: «Przysięgam! Tak mi dopomóż Bóg!». Ksiądz Wojniusz podchodził kolejno do każdego żołnierza i podawał do ucałowania krucyfiks.

Na zakończenie tej uroczystości żołnierze 5. Brygady Wileńskiej AK odśpiewali swój marsz. Pieśń ta była wówczas popularna, słowa wszyscy zapisywali, a później chłopcy z Kiemieliszek często Marsz 5. Brygady śpiewali przy każdej okazji. Ja również zapisałem słowa tej pieśni i kartka zachowała się. Oto jej słowa:



Plakat z czasów wojny. Ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Nie formowano nas w koszarach,
Nie zdobił nas żołnierski strój,
Nie spaliśmy na ciepłych narach,
Tylko od razu poszli w bój!
Refren
My to Kresowiacy, chłopcy Wileniacy
Idziemy śmiało w bój za Polski cześć, za honor swój!
Walczymy cały czas, choć mało

nas, choć mało nas.
Lejemy krew, cierpimy rany
I zawsze jest przegrany wróg;
Żodziszki, Bołosz i Worziany
I więcej zwycięstw dał na Bóg!
I w każdym trudzie, w każdej biedzie,
Gdzie trzeba było walczyć nam,
Nasz wódz Łupaszko był na przedzie,
A przed nim wiał czerwony cham.
Refren
Sowietów zgnieść i Niemca zgubić -
To święty obowiązek nasz,
Spełniamy go z całego serca -
Pełnimy tu, na Kresach, straż!
Refren.

Po tej uroczystości cały oddział odmaszerował w kierunku Gwoździkian i dalej, zapewne pod Świr. Po tym wydarzeniu AK-owcy często bywali w miasteczku i w okolicznych zaściankach. W końcu kwietnia nawet był pogrzeb partyzanta na cmentarzu kiemieliskim.

Jednak Niemcy po przysiędze żołnierzy brygady «Łupaszki» przysłali do Kiemieliszek policjantów litewskich. Antoni Rakowski wspomina te zdarzenia następująco: «Pewnego dnia pod wieczór w miasteczku na cmentarzu chowano partyzanta, który zastrzelił się podczas czyszczenia broni. Właśnie wróciłem z pogrzebu do domu, a tu wchodzi policjant litewski i pyta mnie, czy są w miasteczku partyzanci. Odpowiedziałem mu, że byli, ale niedawno wyjechali. Policjanta znałem, więc wyszedłem z nim na podwórko i wtedy zobaczyłem, że od strony Michaliszek jedzie kilka furmanek z policjantami. Byli to ci sami, których wcześniej wyprosili z miasteczka polscy partyzanci. A więc znowu powróciła do nas władza niemiecko-litewska. W tym czasie ciocia Truchanowa, siostra ojca, prowadziła stołówkę. Stołowali się u niej policjanci i inni urzędnicy. Mieszkał też wtedy u niej pan Dziatlik. On



IRENA WALUŚ

ZBIOROWA MOGIŁA AK-OWCÓW W NOWOSADACH

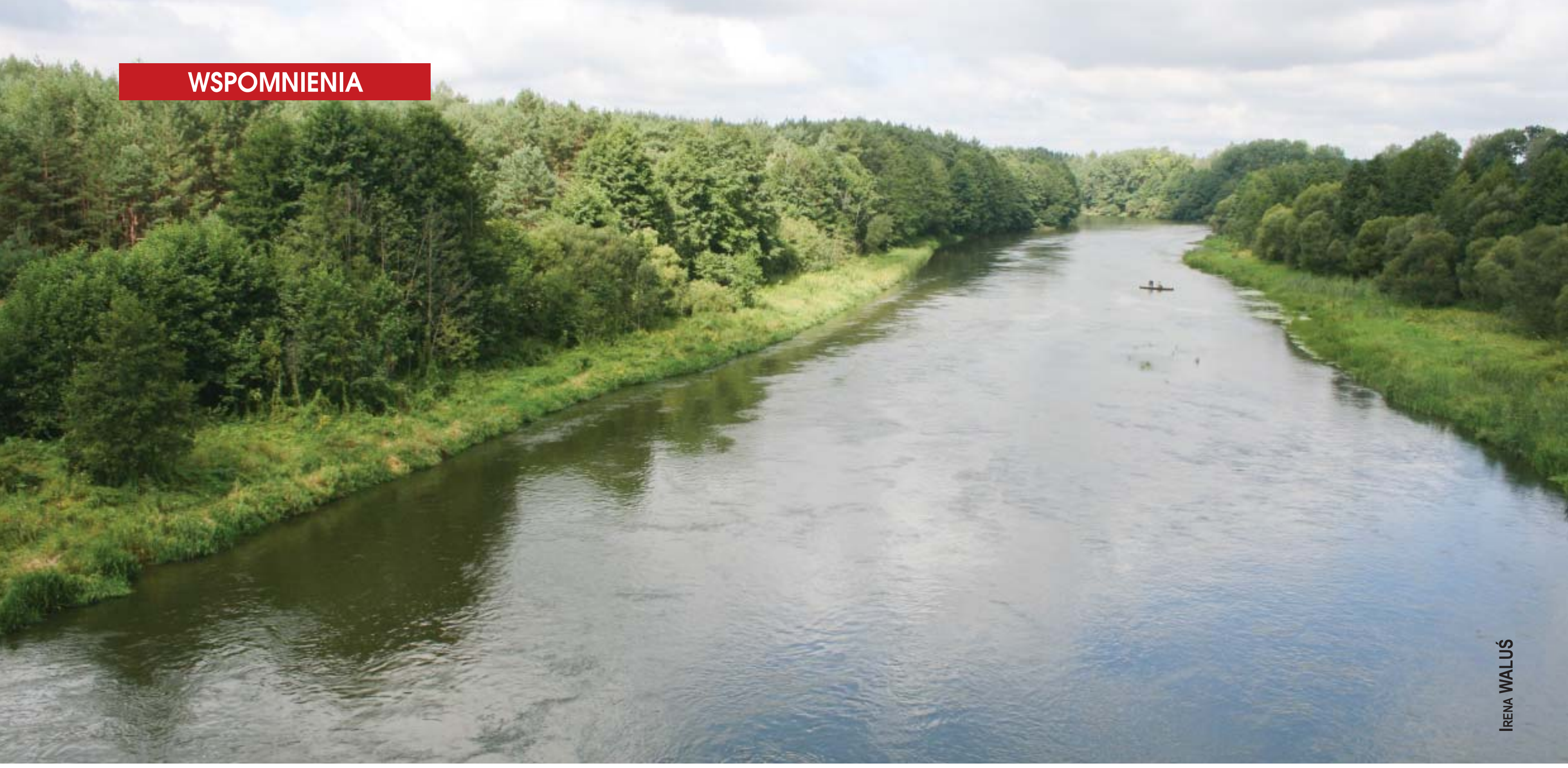
lubił obcować z chłopcami mego wieku. Uczył nas rosyjskich piosenek. Fragment jednej z nich zapamiętałem:

Tam polskij gienierał idiot,
On poliakow wiediot...

Chodziło chyba o generała Andersa, który wyprowadził Polaków ze Związku Sowieckiego. Później się dowiedziałem, że pan Dziatlik pracował w polskim wywiadzie. Ciągle nas o coś pytał, a nawet dawał nam niewielkie zadania do wykonania, np. dowiedzieć się ile w miasteczku jest policjantów, jakie mają karabiny, czy mają karabiny maszynowe itp.».

Coraz częściej dochodziły do naszej rodziny słuchy o bitwach partyzantów polskich stoczonych z Niemcami. Słyszeliśmy o bitwie pod Żodziszkami, Worzianami. Policjanci litewscy długo nie gościli w Kiemieliszkach, bo wkrótce otrzymali list od partyzantów z żądaniem opuszczenia miasteczka. Pamiętam był dzień rynkowy (środa), pełno ludzi na targu przed kościołem. Wtedy komendant policji zarządził wyjazd. Policjanci zabrali kilka furmanek i załadowali na wozy swoje rzeczy a także towar Lietukisu, tj. z litewskiego sklepu.

Furmankami ruszyli na Dawciuny w stronę Podbrodzia. W tym czasie, jak opowiadał później Jarosiek Emilian, «w pobliżu drogi do Dawciun pojawiła się pięcioosobowa grupa partyzantów. Chłopcy kiemieliscy powiedzieli im, że



Rzeka Wilia w Żodziszkach, gdzie w okolicznych lasach działała AK

Litwini wyjeżdżają z miasteczka. Partyzanci szli do swego oddziału, nie mieli zamiaru atakować Litwinów, ale zasiedli koło drogi i postanowili zatrzymać policjantów. Jednego spośród siebie posłali do oddziału po pomoc, tak na wszelki wypadek. Czterej pozostali zaczęli strzelać, chodziło im o zatrzymanie furmanek. Komendant policji nie chciał wdawać się w awanturę i wysunął białą flagę na znak, że się poddają. Ale dalej jadący podpici policjanci zaczęli strzelać, więc wywiązała się walka. Policjanci szybko się zorientowali, że partyzantów jest niewielu, więc zeskoczyli z wozów i próbowali Polaków otoczyć. Partyzanci wycofali się do lasu, ale wkrótce nadeszła pomoc. Litwini zrozumieli, że mogą przegrać, więc rzucili się do ucieczki pozostawiając furmanki z naładowanymi rzeczami. Partyzanci rozkazali woźnicom, by wrócili z powrotem do Kiemieliszek, oczywiście rzeczy i żywność partyzanci zabrali».

Od tego dnia Kiemieliszki stały się na jakiś czas stolicą brygad «Łupaszki», «Ronina» i innych. Dla chłopców 13-16-letnich, takich jak ja, był to zastrzyk polskości. Radość była ogromna, że oto wreszcie mamy znowu Polskę! Pamiętam nuciliśmy taką piosenkę. Zresztą śpiewali ją także podpici starsi panowie:

Długo spała Polska święta,
Długo Biały Orzeł spał,
Lecz się zbudził i spamiętał,
Że on kiedyś wolność miał!

Każdy się cieszył, że po tych kilku latach niewoli mógł zaśpiewać we własnym języku. Zapanowała wtedy zgoda i każdy starał się być uprzejmy w stosunku do sąsiada. Nawet dzieci, które często się kłóciły, były wtedy bardzo grzeczne. Jakże było ciekawie: jedna brygada AK z Kiemieliszek wychodziła, druga przychodziła. Na rynku, przed kościołem, odprawiano msze polowe. Drużyny ćwiczyły na łąkach, to znowu uczono partyzantów maszerować i repetować broń. Wszystko to było i ciekawe i bliskie! Było to w końcu kwietnia 1944 roku, ja miałem skończonych 13 lat. Dla mnie był to prawdziwy zastrzyk polskości, patriotyzmu. Do końca życia będę pamiętał tamte kwietniowe dni.

Łotysze w Kiemieliszkach

A w czwartą niedzielę kwietnia 1944 r. przyjechali do nas partyzanci i powiedzieli napotkanym mieszkańcom, żeby byli na baczności, bo jeszcze tego dnia przybędą tutaj Niemcy. Tak się też stało. Usłyszeliśmy huk czołgów, które jechały od Podbrodzia. Ale, jak się okazało, nie byli to Niemcy, lecz Łotysze w służbie niemieckiej. Czołgi były niemieckie i one tych Łotyszy eskortowały. Prawdopodobnie byli to żołnierze 25. Łotewskiego Batalionu «Abavas», umundurowani w uniformy po armii łotewskiej, na lewym rękawie przyszyta flaga narodowa: prostokąt w kolorze czerwonym (karminowym) z białym pasem.

W Kiemieliszkach oddział Łotyszów podzielono na trzy grupy: jedna została w miasteczku, drugą wysłano do Michaliszek, a trzecią – do Wornian. Ludzie myśleli, że Niemcy (niewielka grupa) zabiorą bydło, więc wieczorem krowy nie wróciły z pastwiska, pastuchy pogonili je do lasu. Nazajutrz Łotysze rozlokowali się w szkole i w budynku dawnej gminy, gdzie wcześniej kwaterowali litewscy policjanci. Kilku z nich wyjechało motocyklem do Michaliszek, minęło chyba pół godziny i wrócili, ale byli w kalesonach. Za chwilę znowu pojechali motocyklem,

ale dwóch żołnierzy było w kalesonach, a oficer w mundurze, jechali koło naszego domu po ulicy Gwoździkiańskiej, więc wszystko widziałem. Po dwóch godzinach wrócili w mundurach i z karabinami. Jak się później okazało, Łotysze umówili się z polskimi partyzantami, aby sobie wzajemnie nie przeszkadzali. Jedni mają robić swoje, a drudzy swoje. Łotysze jednak rozkwaterowali się w dużym gminnym budynku. Codziennie rankiem, dopóki kwaterowali w Kiemieliszkach, ustawiali się w dwuszeregu na dziedzińcu gminy i śpiewali hymn państwowy Łotwy:

Dievs, svētī Latviju! («Boże, błogosław Łotwę!»).

Po kilku dniach przyjechali do Kiemieliszek Niemcy. Jeździli po okolicznych wsiach i zabierali bydło. Zostawiali ludziom po jednej krowie. Bydło zapędzano do miasteczka. Trwało to około tygodnia. Wreszcie 30 kwietnia postanowiono bydło gnać do Podbrodzia. Sami, mając niewielkie siły, bali się krowy pędzić do stacji, więc wywołali z Wilna pomoc. Gdy oddział Niemców jechał z Podbrodzia, to AK-owcy spotkali go pod wsią Bołosza, około 5 km od Kiemieliszek. Doszło do walki.

O tym zdarzeniu opowiedział nam Wiciuk Ślipiko z Dawciun, który przyjechał rowerem do Kiemieliszek i opowiedział jak było. Opowiedział on, że partyzanci zabili około 25 żołnierzy niemieckich, nie wiadomo ile było rannych, bo Niemcy tego nie ogłosili. Rozbity oddział faszystów wrócił do Podbrodzia, stamtąd wyjechały czołgi, pod osłoną których przybyły posiłki. Niemcy zabrali zabitych i rannych, zabrali też z Kiemieliszek krowy i świnie, poza tym spalili wieś Dawciuniszki. Bitwa pod Bołoszą trwała około pięciu godzin.

Ludzie w Kiemieliszkach zadawali sobie pytanie: dlaczego Łotysze nie pomogli Niemcom? Nie wiadomo. Nikt nie wiedział, ale w Kiemieliszkach Łotysze pozostali sami, bez Niemców i Litwinów. Nawiązali oni kontakty z AK-owcami, sprzedawali im broń, a od Manieczki i innych mieszkańców kupowali samogon (słowa «bimber» w Kiemieliszkach nie znano), bo wówczas pędzili krzakówkę prawie w każdym domu.



Kwatera żołnierzy, poległych w bitwie pod Worzianami

Starsi chłopcy – Rakowski, Truchan, Janek Maksimowicz – od Łotyszów kupowali amunicję do karabinów. Za ćwiartkę wódki dawali chłopakom 90 naboi, które potem oni przekazywali partyzantom. W tym czasie często obok miasteczka przechodzili partyzanci, Łotysze ich widzieli, ale nie strzelali.

Rakowski opowiadał, że kiedyś na początku maja 1944 r. Łotysze na furmance wieźli skrzynie z amunicją do strzelnicy. Trochę postrzelali i skrzynie zostawiali na miejscu. Po 15 minutach zjawiali się partyzanci i skrzynie z amunicją zabierali. W tym czasie między partyzantami i Łotyszami nie było żadnego konfliktu ani też z kiemieliską młodzieżą. Na początku czerwca część żołnierzy łotewskich przeszła z uzbrojeniem do partyzantów. 2 lipca 1944 roku Łotysze opuścili Kiemieliszki, 4 lub 5 lipca 23. Brygada «Żejmiana» rozbroiła grupę około 120 Łotyszy na drodze za Gwoździkianami. Partyzanci wypuścili ich wolno, dokąd oni się udali, nigdy się nie dowiedziałem.

Wycieczka do Zułowa

Na początku czerwca 1944 roku w Kiemieliszkach i okolicy było dość spokojnie, żołnierze łotewscy spokojnie mieszkali w miasteczku, pogoda była piękna, więc my chłopcy, Tadek Wachowicz, który później wyjechał do Polski, Jurka Czepułkowski i ja postanowiliśmy pojechać do Zułowa, miejsca urodzenia marszałka Józefa Piłsudskiego. Właściwie inicjatorem wycieczki był Tadek, nauczycielski syn, który z matką w końcu 1943 roku zamieszkał w Kiemieliszkach. On obliczył, że z naszego miasteczka do Zułowa będzie jakieś 17-18 kilometrów i rowerami możemy tam pojechać w ciągu 2-3 godzin. Wachowicz rower gdzieś zdobył, Czepułkowski pożyczył od ojca, ja zaś roweru nie miałem, ale bardzo chciałem pojechać do Zułowa. Na rowerze jeździć umiałem, bo jak spod Ryteni i Koreniatów przyjeżdżali chłopcy w niedziele do kościoła lub w środy na rynek, to rowery zostawiali na dziedzińcu Makiewicza i mnie prosili, abym popilnował, przy tym pozwalali mi pojeździć po ulicy na rowerze. I teraz musiałem zdobyć skądś rower. I w środę przed niedzielą, kiedy mieliśmy wyjechać do



Dąb w Zułowie posadzony w 1937 r. przez prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego na cześć Józefa Piłsudskiego

Zułowa, przyjechał na rowerze z Boleś Marcinkiewicz. Powiedziałem Bolesiowi, że chcemy pojechać na wycieczkę do Zułowa, ale nie mam roweru, to ten mi powiedział, że w niedzielę on przyjedzie na mszę do kościoła, zostawi rower, po mszy pójdzie do rodziców, a wieczorem odbierze swój pojazd i na noc wróci do Bołoszy. A więc rower miałem obiecany i umówiliśmy się z chłopcami, że wyjedziemy w najbliższą niedzielę. Od rana, jak pamiętam, pogoda była piękna, słoneczna, ciepło. Mama dała na drogę kawałek chleba i kiełbasę, prowiant włożyłem do torby i z tym obrokiem wyjechałem do centrum miasteczka na spotkanie z Tadzikiem i Jurkiem. Oni też mieli torby z jedzeniem.

Jechaliśmy przez wsie: Żusiny, Taluszany, Brukaniszki do Strypiszek, gdzie mieszkali staroobrzędowcy, zwani przez miejscowych Polaków Burłakami. Przejechaliśmy obok ich świątyni, molenny i zatrzymaliśmy się przy zagrodzie stojącej obok cerkwi. Pić się chciało, więc weszliśmy na podwórko, z chaty wyszedł chłop z dużą rudą brodą, odziany w kużelne portki i takąż rubachę, opasaną cienkim rzemieniem. Popatrzył na nas spode łba i groźnie zapytał:

– Czewo nado?

– Pić się nam chce, prosimy o kubek wody – odrzekł najodważniejszy z nas Tadzik Wachowicz. – Burłak, bosy, otarł stopą prawej nogi lewą łydkę, podrapał rudą czuprynę i zwrócił się w kierunku drzwi, gdzie stała jego żona i również nam się przyglądała:

– Mat', a nu daj jamu pahanuju krużku… Wziął od żony duży miedziany kubek i podał go Tadzikowi, prawą ręką wskazał studnię. Tadek zaczerpnął wiadro zimnej wody i wszyscy troje łapczywie piliśmy zimną studzienną wodę Burłaka. Kiedy napiliśmy się wody, Tadzik podał kubek Burłakowi, ten go wypłukał, z żerdki wziął ścierkę i długo naczynie wycierał… Podziękowaliśmy gospodarzowi i pedałowaliśmy dalej. Cały czas zastanawiałem się, dlaczego kazał żonie dać nam «pahanuju krużku»? Gdy zatrzymaliśmy się w lesie przed Zabieliszkami na odpoczynek, zapytałem Tadzika, który był najstarszy i więcej wiedział, dlaczego Burłak powiedział żonie: «daj pahanuju krużku»? – Tadeusz wyjaśnił, że staroobrzędowcy uważają, że katolicy i prawosławni są nieczyści, pahanyje, dlatego nie należy dawać im naczynia czyste, używane tylko przez starowierców. Obcy musi dostać nieczysty (pahanyj) kubek lub «nieczystą» miskę. No cóż, trzeba uszanować wiarę i zwyczaje sąsiadów, którzy obok nas mieszkają – pomyślałem. I pojechaliśmy dalej: za Wincentowem przejechaliśmy mostkiem przez rzekę Merę i po około pół kilometra byliśmy już na terenie dawnego majątku Piłsudskich.

Piękne są naokoło okolice. Ale sam Zułów nie jest specjalnie ładny. Płasko, piaszczyście, sośniaki bez większego charakteru. Dobra zułowskie stanowiły dość monotonną plamę wśród otaczającego je kolorowego i uroczego krajobrazu. Dalej jest wieś Zułów, oddalona od folwarku o 1,5 km na wschód. Pół kilometra od folwarku przechodzi ocieniona starymi topolami szosa, wiodąca z Wilna przez Podbrodzie do Święcian.

Po zabudowaniach dawnego majątku już śladu nie było, tylko nieco w oddali stała oficyna, zwana przez tutejszych ludzi czworakiem. Mieszkali w niej jacyś ludzie. Na wzgórku rósł młody dąbek. Jak się później dowiedziałem, drzewo to osobiście posadził 10 października 1937 roku prezydent Ignacy Mościcki. Podobno w tym miejscu znajdował się pokój, w którym Józef Piłsudski 5 grudnia 1867 roku przyszedł na świat.

Bliżej szosy, obok drogi wiodącej do Wincentowa, na niewielkim piaszczystym pagórku wśród sosen stał wtedy drewniany budynek w kształcie dworku z gankiem nakryty wysokim dachem. Podobno w tym budynku miało być muzeum Marszałka. Nie pamiętam, czy był on wtedy pusty, czy ktoś tam mieszkał.

Przy tym dębczaku posililiśmy się, zjedliśmy nasze zapasy i tym razem po wodę do czworaku pobiegł Jurka Czepułkowski. Napiliśmy się wody, Jurka oddał dzbanek, w którym przyniósł wodę, i pojechaliśmy z powrotem do Kiemieliszek. Powrotna droga była



CO ROKU CZŁONKOWIE ZPB ODWIEDZAJĄ SMORGOŃSZCZYZNĘ I OSZMIAŃSZCZYZNĘ, BY UCZCIĆ ROCZNICĘ AKCJI «OSTRA BRAMA». LIPIEC 2010 R.

jakby krótsza, jechaliśmy prędko, bo za niecałe dwie godziny byliśmy w domu. Wycieczkę tę do Zułowa zapamiętałem na całe życie, była dla mnie wielkim przeżyciem… Po wielu latach bywałem w Zułowie dość często, ale to już nie były takie wrażenia, jak wówczas, kiedy miałem 13 lat.

Od 2 lipca 1944 roku w Kiemieliszkach nie było władzy. Pamiętam, że 4 lipca przez Kiemieliszki przejechał obóz uciekinierów, byli to litewscy i białoruscy urzędnicy uciekający z okolic Świra i Miadzioła. Słyszeliśmy odgłosy armat, front był coraz bliżej. 5 lipca było cicho, nikt nie przyjechał. W miasteczku ludzie czekali na jakieś wydarzenie i bali się, by tędy nie przetoczyły się walki między czerwonoarmistami i faszystami.

Powrót Sowietów i Białorusi

6 lipca 1944 r. już nawet polskich partyzantów nie widzieliśmy, bo wszystkie oddziały Armii Krajowej wezwane zostały do Wilna. Szykowała się akcja «Ostra Brama». Po śniadaniu wyszedłem z domu na ulicę i zobaczyłem, że od strony Gwoździkian idzie do Kiemieliszek jakiś oddział wojska, pomyślałem, że to partyzanci, ale jak podeszli do chaty Rakowskich, okazało się, że byli to żołnierze sowieccy, tym razem mieli już naramienniki. Ale bardzo wycieńczeni, prawie bosi, nogi mieli obwiązane onucami, buty przewieszone na ramieniu, szli spoceni, brudni, wycieńczeni… W taki oto sposób znów w naszych stronach pojawili się Sowieci. Rozpoczęła się nowa okupacja kraju.

Ja pobiegłem do domu po wodę, wyniosłem na ulicę wiadro wody i kubek, chciałem, by ci biedni, zmęczeni 18-19-letni chłopcy ugasili pragnienie, wziąłem kubek zaczerpnąłem wody i próbowałem podać bojcowi.

-Nie zadierżiwajsia, job twoju mat'! Wpieriod, wpieriod! – krzyczał oficer z pistoletem w dłoni. A wiadro pełne zimnej wody kopnął swym kirzowym butem, woda się rozlała… – Oto– pomyślałem – sowiecka troska o żołnierzy, dobrze, że mnie nie uderzył.

I żołnierze piechoty szli i szli w kierunku Podborodzia i w kierunku Wilii do Aloksy, a potem do Wilna. Za nimi jechały oddziały tzw. zagraditielnych otriadow, potem pojawiły się ciężarówki studabackery z sprzętem, kuchnie polowe i inne pojazdy. W Kiemieliszkach nie zatrzymywali się, prawdopodobnie plany komandirów były inne.

Na drugi dzień, 7 lipca 1944 r., pojawili się w Kiemieliszkach partyzanci sowieccy, uzbrojeni w automaty pepesza. Oni ustanawiali władzę sowiecką. Uczastkowym milicjantem został były partyzant, niejaki Stulba. On stanowił w lipcu 1944 roku władzę sowiecką na terenie dawnej gminy kiemieliskiej. Priedsiedatiela sielsowietu na razie nie przysłano ■

Nowa książka profesora

IRENA WALUŚ

W Olsztynie w wydawnictwie «Littera» ukazała się książka wspomnień pt. «Krętymi ścieżkami» profesora Mieczysława Jackiewicza, będącego autorem wielu książek naukowych, artykułów popularnonaukowych. Opracował też osiem tomów Encyklopedii Ziemi Wileńskiej. Jest znany naszym Czytelnikom z publikacji w «Magazynie», także i w tym numerze.



OKŁADKA KSIĄŻKI

Najpierw, jak mówił, nie miał zamiaru wydawać wspomnień, napisał z myślą o wnukach, żeby wiedzieli o swojej rodzinie ze strony matki, córki profesora. Właśnie pamięci swojej córki Wiesi dedykuje te wspomnienia.

Dobrze się stało, że książka została wydana i ma możliwość trafić do szerszej publiczności. Jest to niezwykła lektura wspomnień napisana jednak ręką naukowca. Swoje wspomnienia profesor uzupełnia poszukiwaniami w archiwach, w literaturze naukowej, wspomnieniami innych osób. Do opisanych miejsc autor przyjeżdżał po wojnie jako osoba prywatna, jako naukowiec oraz będąc konsulem generalnym RP w Wilnie w latach 1998 – 2002.

Opisuje rodzinę ojca, który przyszedł na świat w Witebsku, ale rodzina jego wywodziła się z Wileńszczyzny, jak również i matki. Sam autor urodził się w Bokszyszkach w roku 1931, ale gdy miał dwa lata, rodzice stamtąd wyjechali, mieszkali potem w innych miejscowościach na ziemi wileńskiej i w Wilnie. Jak pisze autor, Małej Ojczyzny «do której ludzie zazwyczaj tęsknią przez całe życie, jeśli tam nie mieszkają, gdzie trawa pachnie swojsko, a niebo jest bardziej błękitne, aniżeli gdzie indziej» – nie ma. Pozostała tylko zapisem w metryce.

Okupacja sowiecka, a potem II wojna światowa brutalnie wtargnęły w życie naszego bohatera. Opisuje te dramatyczne, a czasami tragiczne czasy w Wilnie, a potem w Kiemieliszkach. W tych wspomnieniach pokazane jest również codzienne życie ludzi, ich problemy, troski, walka o przeżycie. Jest tu rozpacz ludzi, którzy tak ucierpieli od dwóch totalitaryzmów.

Wspomnienia mają dużą wartość dla etnografa, bo opisane są w nich jak wyglądały poszczególne pokoje w domu w Kiemieliszkach, kącik święty, łaźnie nad rzeką Margiełką, jak chłopcy łowili raki czy jak mielono zboże na żarnach. Dzięki nim wiemy, jak wyglądał fest w Kiemieliszkach, jakie piosenki śpiewano podczas żniw, na Wielkanoc czy w lany poniedziałek.

Książka «Krętymi ścieżkami» to nie tylko historia rodziny Mieczysława Jackiewicza, innych ludzi i ich przeżycia, to także utrwalona na zawsze ulica Połocka w Wilnie i samo miasto, Kiemieliszki jakich już nie ma, jak również całego tamtego świata. Na kartkach książki Mieczysław Jackiewicz pokazał ludzi, o których być może nikt by już dzisiaj nie pamiętał...

W książce przeczytamy o żołnierzach AK, którzy ginęli, żeby Polska była wolna i znowu była na tych ziemiach. To bardzo cenny, w tym wypadku, dokument czasu, uzupełniony do tegoż obaleniem bredni, jakie wypisuje na ten temat profesor Adam Maldzis gloryfikując sowieckich partyzantów, którzy zachowywali się jak pospolici bandyci, nękając i grabiąc miejscową ludność. Mieczysław Jackiewicz wskazuje, że Maldzis jest nierzetelny jako naukowiec, opierając swoje badania wyłącznie na meldunkach sowieckich partyzantów, do czego Maldzis sam się przyznał podczas spotkania z autorem wspomnień. Książka może służyć naukowcom do czerpania informacji o tym, co wydarzyło się naprawdę.

Autor wspomnień w 1956 r. z rodziną wyjechał do Polski, ale przed tym odbył służbę wojskową w Turkmenii, pracował jako nauczyciel w Brzozówce i Mickunach. Przez całe życie nie brakowało mu krętych ścieżek, którymi trzeba było iść do przodu ■

O Dzierżyńszczyźnie

Była to autonomiczna polska jednostka administracyjna utworzona w ZSRR, w obwodzie mińskim Białoruskiej SRR w 1932 r. Stolicą rejonu został Kojdanów przechrzczony na Dzierżyńsk. Oficjalna nazwa Polski Rejon Narodowościowy im. Feliksa Dzierżyńskiego, potocznie nazywany Dzierżyńszczyzną.

Jednym z powodów powołania polskich autonomii był fakt, iż sowieckie władze nigdy nie zrezygnowały z zamiarów opanowania Polski i ustanowienia w niej Republiki Radzieckiej. Marchlewszczyzna (powstała na Ukrainie w 1925 r.) i Dzierżyńszczyzna miały być zalążkami republiki, z której odbywałby się eksport rewolucji do Polski.

Polski rejon w Białoruskiej SRR równie dobrze można było utworzyć gdzie indziej, bo Polacy mieszkali na terenie całej republiki. Zadecydowała bliskość Kojdanowa od ówczesnej polskiej granicy. Inicjatorami utworzenia byli polscy komuniści przebywający w ZSRR.

Na terenie rejonu działały polskie szkoły, czytelnie, ukazywały się polskojęzyczne czasopisma i publikacje książkowe. Jednym z języków urzędowych na terenie rejonu był język polski.



Las w Kuropatach, gdzie zginęło wiele osób w czasie terroru stalinowskiego, w tym Polaków

Kojdanowski Narodowościowy Rejon Polski, jak początkowo się nazywał, zajmował obszar 1000 km kw., liczył 44 tys. mieszkańców. Na początku lat 30., podobnie jak w całym Związku Radzieckim w Dzierżyńszczyźnie została przeprowadzona kolektywizacja. Kościoły i kaplice zostały pozbawione funkcji sakralnych, a księżą uwięzieni lub zabici.

Jako pierwsza została zlikwidowana Marchlewszczyzna (1935 r.), po niej w 1938 r. – Dzierżyńszczyzna. Tysiące Polaków zostało wywiezionych do Kazachstanu i na Syberię lub zabici. Liczba ludności w rejonie, co wynika z sowieckiego spisu w 1939 roku zmniejszyła się aż o 30%! W miejscu polskiego rejonu intensywnie zaczęto budować «Linię Stalina» – pas umocnień obronnych, mających bronić wschodniej granicy ZSRR ■

Sprostowanie

W «Magazynie Polskim na uchodźstwie» nr 7(79) w podpisie pod zdjęciem na str. 18 jest błąd. Zamiast zdania: «Miasto Borysów wchodziło w skład Dzierżyńszczyzny» – trzeba czytać: «W latach 30. kościoły zamknięto».

Borysów nigdy nie był w składzie Dzierżyńszczyzny. Specjalnie podaliśmy tekst «O Dzierzyńszczyźnie», by udostępnić o nim więcej informacji.

Owe zdjęcie jest w artykule profesora Mikołaja Iwanowa «Ilu Polaków było w Związku Sowieckim przed wojną». Jednak nie był to błąd naszego autora, a redakcji, która dobierała ilustracje. Za ten błąd przepraszamy Profesora i naszych Czytelników.

Redakcja



Irena Waluś

Kościół pw. Podwyższenia Krzyża świętego w Bystrzycy

Ważne święto Maryjne

Uroczystości odbywające się tego dnia w katolickich świątyniach wiążą się z dogmatem o Wniebowzięciu NMP. Według teologii katolickiej, Maryja mocą Bożą została wzięta do nieba podobnie jak Henoch i Eliasz.

Według niektórych tradycji, Zaśnięcie NMP miało dokonać się ok. 45 roku na Górze Syjon. Inne źródła podają, że św. Jan Apostoł miał zabrać Maryję ze sobą do Efezu, gdzie zakończyła swe ziemskie życie. Jeszcze inne przekazy mówią o tym, że w dzień Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny zjechali się apostołowie z oddalonych krańców ziemi, by pochować Jej ciało u podnóża Góry Oliwnej.

Tomasz, którego nie było przy Zaśnięciu Maryi, poprosił o otworzenie Jej grobu. Gdy odsunięto kamień, okazało się, że grobowiec jest pusty i leżą w nim tylko pachnące lilie i wianki kwiatowe. Dalekim echem tej opowieści jest święcenie w dzień Wniebowzięcia kwiatów i ziół.

Święto to jest najstarszym świętem Maryjnym. Już w V w. znane było w Palestynie i w Syrii. Początkowo obchodzono je tylko lokalnie w sanktuarium Maryjnym niedaleko Betlejem. Od VII wieku zostało przyjęte przez Stolicę Apostolską i przemianowane na Święto Wniebowzięcia.

W 1950 roku papież Pius XII ustanowił Wniebowzięcie jednym z dogmatów Kościoła katolickiego. Stwierdza on, że po zakończeniu swojego ziemskiego życia Najświętsza Maryja Panna została z ciałem i duszą wzięta do nieba. Święto to – nazywane Zaśnięciem Bogurodzicy – obchodzą również wierni wyznania prawosławnego w dn. 28 sierpnia.

Od IX w. tego dnia w kościołach poświęca się zioła, kwiaty, kłosy zbóż i owoce. Dawniej wierzono, że takie święcone bukiety mają szczególną moc: zapewniają bezpieczeństwo i pomyślność w gospodarstwie, mają cudowne właściwości lecznicze. Podczas powrotu z kościoła zostawiano je wśród upraw, gdzie miały przynieść szczęście w zbiorach, po czym, po kilku dniach, zabierano do domu. Były przechowywane bardzo pieczołowicie, okadzano nimi izbę, trzymano w miejscu, które było widoczne. Obecność bukietu dawała pewność, że jego moc będzie działała.

Tego dnia we wszystkich kościołach są odprawiane uroczyste msze, a w sanktuariach Maryjnych odbywają się odpusty. W Polsce największe obchody mają miejsce w Kalwarii Zebrzydowskiej, gdzie przedstawiane są duże inscenizacje, oraz na Jasnej Górze, gdzie we mszy uczestniczą przedstawiciele władz i Episkopatu Polski oraz liczni pielgrzymi.

Na Białorusi mimo, że jest to dzień pracy, we wszystkich kościołach odbywały się uroczyste Msze św. W świątyniach tego dnia, szczególnie w Grodnie, wspominano, że 15 sierpnia to dzień zwycięskiej bitwy Polaków pod Warszawą, nazywanej Cudem nad Wisłą, w wojnie polsko-bolszewickiej.

W Sanktuarium NMP Królowej Jezior w Brasławiu Msza św. z okazji Wniebowzięcia NMP zainaugurowała obchody uroczystości odpustowych. W tym roku koncentrowały się one wokół powołania i ukazania Maryi jako Matki powołań.

Tradycyjnie już dni poprzedzające uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny są dla katolików okresem pielgrzymek do sanktuariów Maryjnych. W Polsce najwięcej pątników przybywa na Jasną Górę. Szacuje się, że co roku w różnych pielgrzymkach uczestniczy około 6 – 7 mln osób.

W tym roku odbędzie się XX Piesza Ekumeniczna Pielgrzymka do Wilna przed cudowny obraz Matki Miłosierdzia w Ostrej Bramie. Pielgrzymi wyruszają z Białegostoku, w Grodnie dołącza do nich grupa pątników z Białorusi wraz z kapłanami. Pielgrzymi dotrą do Ostrej Bramy w dn. 24 sierpnia, a następnego dnia odbędzie się Msza św. w katedrze wileńskiej. Tradycją lat ubiegłych, pątnicy nawiedzą wszystkie kościoły i cerkwie znajdujące się na szlaku ich pielgrzymowania.

Tak też było i w życiu Maryi, która całym swym bytem wędrowała ku Bogu – zwłaszcza przez wiarę, nadzieję, miłość i posłuszeństwo. To w Niej wierni widzą odbicie Chrystusa, który przez Krzyż wstąpił do chwały. Maryja również przemierzała bolesne stacje swojego życia z pełnym oddania Bogu i ludziom poświęceniem. Kościół stawia Ją za wzór, by starać się być ludźmi wniebowzięcia – tymi, którzy świadomie i zdecydowanie podążają ku niebu.

Przygotowała
Władysława KULIKOWSKA

Po Fabianiszkach została pamięć

Romuald MIECZKOWSKI

Po nauce w dziadkowej szkole początkowej uczyłem się w szkole z tradycjami jeszcze przedwojennymi, w odległej o pięć kilometrów Jerozolimce. Maturę zdobyłem w popularnej wileńskiej «dziewiętnastce», dziś Gimnazjum im. Władysława Syrokomli. Do Jerozolimki chodziło się pieszo przez las, zimą przydatne były narty, wiosną i jesienią – rower. Do miasta kursował autobus podmiejski, ale bywał tak niemiłosiernie pełny (jeden przystanek do rogatek), więc zwykle chodziło się pieszo, krętą drogą, obsadzoną lipami.


Romuald MIECZKOWSKI

NIEISTNIEJĄCY DOM MIECZKOWSKICH W FABIANISZKACH. ZDJĘCIE Z DRUGIEJ POŁOWY LAT 70.

W Wilnie styczność z litewskim była większa. Obok obecny był rosyjski, polski coraz bardziej zachwaszczał się proletariackimi rusycyzmami.

Po latach z czułością rozmyślam o niebywałej naiwności mojego ojca. Po zabraniu przez Sowietów 5 hektarów ziemi po jego ojcu, postanowił zbudować dla mas murowany dom, bo synów już miał, córkę też, a i drzew zasadził niemało. Ale ustrój radziecki nie zezwalał na posiadanie dwóch domów – w jednym już mieszkaliśmy, i to w trzy pokolenia. Dogadał więc z kimś tam, że zbuduje skład-chlew, a jak rodzina wzrośnie, to go przebuduje. A może i prawo do tego czasu się zmieni?

Przystąpił do dzieła, mobilizując swych szwagrów i krewnych. Skrupulatnie przy tym zbierał pokwitowania, bo rzecz miała być «w zgodzie z prawem». Po urzeczywistnieniu pomysłu trudno jednak było skryć inwestycję, tym bardziej, że chętnych do zamieszkania w tej miejscowości nie brakowało – miasto napierało. W każdym razie doszło znowuż do konfiskaty. Nie pomogły pokwitowania. Można z nich dzisiaj jedynie dowiedzieć się, ile kosztowała wtedy cegła, cement czy gwoździe.

Rodzice postanowili walczyć. Miejscowe sądy, wiadomo, nie były przychylne, podjęli więc decyzję sprawiedliwości szukać w Moskwie.

Jako, że w 1964 roku już miałem opanowany język rosyjski, pod dyktando ojca napisałem skargę do samego Chruszczowa, na kilku kartkach liniowego papieru ze szkolnego zeszytu. Jeden jej egzemplarz zachował się. List należało wrzucić do skrzynki pocztowej na terenie Rosji, ponieważ ktoś, pracujący na Poczcie Głównej w Wilnie, powiedział, że «z Litwy listy do Komitetu Centralnego KPZR nie dochodzą».

Tak też zrobiono. Prawdę mówiąc, i wtedy nie bardzo mogłem sobie wyobrazić, jak oto Nikita Siergiejewicz czyta moje starannie wykaligrafowane pismo z zawijasami i wzruszony krzywdą ludzką, śpieszy na pomoc pokrzywdzonym.

Kiedy moja znajomość rosyjskiego nie pomogła, matka wybrała się osobiście do Moskwy, żeby zapisać się na audiencję do najważniejszego w Kraju Rad towarzysza. Po kilku dniach jej, prostej kobie-

cie, udało się dotrzeć do Michaiła Georgadze, sekretarza podówczas KC. Poczęstował herbatą, grzecznie pouczył, iż ludzie na Kremlu mają na głowie sprawy ważniejsze i nie podejmują decyzji w sporze o chlew czy dom, po czym obiecał niechybnie przekazać ten sygnał ludzi pracy odpowiednim instancjom lokalnym – należy przecież ufać władzy radzieckiej na miejscu.

I rzeczywiście sprawę załatwiono szybko. Dokonano remontu i uruchomiono punkt «usług bytowych», z mieszkaniem dla przybyłego pracownika, który był całkowicie radzieckim człowiekiem i nic nie posiadał. Całe szczęście, nie aresztowano rodziców.

Gdy wspominam tamte czasy i innych krewnych, sąsiadów Polaków, mam wrażenie, jakbym wyjechał stamtąd bardzo daleko. A może Fabianiszek w ogóle nie było? Były one oddalone od centrum Wilna o jakieś 4-5 kilometrów, rogatki miejskie – w zasięgu ręki. Z pobliskiego wzgórza było widać wieże kościelne i białe mury miasta, które równolegle żyło własnym i tajemniczym życiem.

Widok Wilna z wysokości piaszczystego pagórka, mizernie porośniętego kukurydzą, był jak kolorowa pocztówka. Patrząc na nią, jakoś nie mogłem uzmysłowić sobie, że tamte zabudowania istnieją naprawdę. Że obok nich mogą chodzić ludzie, jeździć samochody. Że kiedyś w tym mieście mieszkał Mickiewicz i wielu sławnych Polaków, o których mówiła nauczycielka, o jakich z nabożnością opowiadali rodzice. Kiedy byłem w śródmieściu, starałem się dotknąć niektórych budowli, ażeby się przekonać, czy są to te, jakie oglądałem z kołchozowego wzgórza w Fabianiszkach.

Co zostało z tamtych lat? Czyż tylko widok tonącego w zieleni w oddali miasta? To przyszło potem. Na początku mógł być to zapach babcinej komody, słońce w szparach stodoły, w której nocowaliśmy letnią porą.



AUTOR Z BRATEM WŁADYSŁAWEM MIECZKOWSKIM, DZISIAJ LEKARZEM CHIRURGIEM. 1956 R.

Były to polskie słowa, bajki, kołysanki. W pamięci pozostała płyta, w korowej okładce, jedna z pierwszych o szybkości odtwarzania 33 i 1/3. Ojciec ostrożnie zdejmował z niej papierową koszulkę, czyścił płytę specjalną poduszeczką. Po chwili płynęły słowa Gęś górą, gęś górą, a kaczuszki strugą... Kaczuszki przekształcały się w jednakowo ubrane dziewczyny, jakie były na okładce płyty, przywiezionej przez krewnych z Polski. Niebawem zobaczyłem, jak wyglądały naprawdę – dzięki filmowi «Żona dla Australijczyka». Po trzydziestu latach poznałem wielu uczestników tego zespołu. Podczas uroczystego przyjęcia w Wilnie pani Mira Sygietyńska-Zimińska kazała mi usiąść obok siebie – wcześniej robiłem z nią wywiad. Dla pierwszej damy «Mazowsza» kupiłem z wielkim trudem różę. Pani Mira zestrofowała mnie, mówiąc: «A któż to daje damie różę z kolcami!». W pewnym momencie zagrano poloneza i kazała, o zgrozo, stąpać obok! Znaczna część zespołu odwiedziła nasze mieszkanko w bloku na Karolinkach. Po tej wizy-



Piknik u ciotki Marii Oleszkiewiczowej z Piotrowskich w zaścianku w Poszyłajciach. Początek lat 50.

cie zostało wiele wzruszeń i pusta socjalistyczna lodówka. Przez pewien czas przyjaźniłem się z Aliną i Giedyminem Wróblewskimi, tancerzami z «Mazowsza», odwiedzałem ich w Warszawie.

Pierwszy raz pojechałem do Polski w 1970 roku. «Wyzow» czyli zaproszenie otrzymałem ze Szczecina, od dziadka Władysława, właściwie brata dziadka po mieczu. Dziadek rozczulił się i na powitanie dał mi 700 złotych. Na ciuchach u jakiegoś «marynarza» nabyłem dżinsy «riffle», przeznaczając na ich zakup niemal całą sumę. Ale dziadek coś jeszcze dorzucił, jego sąsiedzi nabyli przywiezione sztućce i grzałki elektryczne, mogłem więc wyruszyć w Polskę.

Ze Szczecina pojechałem do Poznania, stamtąd – do Zielonej Góry, potem do Wrocławia, Opola, Katowic, Krakowa, Rzeszowa, by ten pierwszy objazd zakończyć w Warszawie. Jechałem pociągiem, autobusem, autostopem, a dobry polski Anioł Stróż prowadził mnie bezpiecznymi tropami. Zatrzymywałem się trochę u krewnych, więcej – u ludzi poznanych korespondencyjnie, bądź na szlakach turystycznych. Zwiedzałem, robiłem setki zdjęć. Szalałem po teatrach, chodziłem na koncerty, oglądałem po dwa-trzy filmy dziennie. Podróżna walizka była ciężka od książek i płyt.

Te chwile ucieleśniły mi Polskę. Raz i na zawsze. Wszystko w niej było jednak inne i lepsze. Nawet socjalizm.

Tymczasem uczono mnie pokory radzieckiej. «Nie płacz diewczonka, prajdut daždii, sałdat wierniotsa, ty tolko ždi!» – rozlegała się w marszu pieśń, wykrzykiwana strzępami słów. Włóczyłem nogami w onucach, w butach z brezentu. Byłem w mundurze sowieckiego żołnierza. Na mojej czapce była czerwona gwiazda, krzyczałem: Nie szumcie, wierzby nam, z żalu, co serce rwie…

– Wot durak, Paliak – dziwili się Czurki, jak zwano Azjatów.

– Eto naszaja piesnia – mówili Rosjanie.

Tutaj, w Estonii, w mieście Parnowa, przed wiekami przez krótko należącym nawet do Polski, w soczystej wojskowej ruszczyźnie, poczułem szczególny smak polskiej mowy. I jej poszczególnych słów. Powtarzałem je niczym modlitwę. Kilku kolegów – Jura Kiejkow, Rosjanin z rodziny znanych uczonych fizyków atomowych, Ajvars Neško, rzeźbiarz Łotysz, Johan Katke, Niemiec z Rygi to rozumiało. Rozmawiałem sam do siebie, przeczytywałem wielokrotnie listy z domu. Z zagranicy, a więc i z Polski, nie wolno było pisać. Książek w innych językach, nie po rosyjsku, nie też wolno było czytać.

Czasami koledzy mnie prosili, żebym coś zaśpiewał po polsku – wszak Polska była «sojusznikiem w Układzie Warszawskim». Najbardziej lubili «Raznocwietnyje kibitki» czyli «Jadą wozy kolorowe».

Lubił ze mną «politycznie» porozmawiać pewien oficer, który swe najlepsze lata spędził w Legnicy. Szczególnie, gdy był na rauszu. A na rauszu był prawie zawsze. Obejmował mnie i zadawał wciąż

to samo pytanie, pełne żalu:

– Skaži ty mnie atkrawienno, paczemu wy, Paliaki, tak nie liubitie nas, Ruskich?

Wspominałem wtedy krewnych, którzy przeszli przez łagry, rozmowy ojca i wujów o wojnie. Myślałem o Kościuszce i Mickiewiczu, o «Czerwonych Gitarach» i «Mazowszu», o polskich dziewczynach, które poznałem. Co właściwie tu robię? – prześladowało boleśnie pytanie, choć rozumiałem: nie była ta estońska ziemia przeklęta, była ona podbita i ujarzmiona.

W okresie przesilenia, gdy upadało sowieckie imperium, z Litwinami miałem dobre kontakty. Natomiast mój szef w Radiu Litewskim za Polakami nie przepadał. Kiedy nabluzgał do syta, czuł się znacznie lepiej. Lubił mawiać: «Jakiż tam Polak z tego Mickiewicza czy Chopina?

Potem było wspólne oczekiwanie na niepodległość. W imię «Za naszą i Waszą wolność» byłem jednym z inicjatorów powołania czasopisma o charakterze niepodległościowym. Jego nazwę sam wymyśliłem – «Znad Wilii». Ale po z niepodległością i zaszłości odmroziły się, w polskich mediach publicznych pracować było trudno, narzucono im gorsety nowej cenzury. Pozostała zasada z czasów sowieckich: Polacy nie mogą sprawować stanowisk kierowniczych, sami decydować.

Fabianiszki zostały spacyfikowane. Ostatnia padła moja jodła. Była młodsza ode mnie o sześć albo siedem lat. Zasadziłem ją jako dziecko. Nie wiedziałem, że razem przeżyjemy katusze wyrwania z korzeniami.

Przewrotny figiel losu sprawił, że po latach zamieszkałem obok miejsca, gdzie stał mój dom rodzinny, w bloku z widokiem na swe dzieciństwo, przysypane piaskiem, w którym dogorywał sad. Z bolesnym odczuwaniem przemian: oto w miejscu, gdzie się bawiłem, rozbłysła niebieskimi światłami stacja benzynowa Shell'a. Tam, gdzie biegła wśród drzew droga do domu, stanął nowoczesny salon meblowy, z drugiej strony – bez gustu wzniesione zabudowania jednej z firm. Wycięto w pień sad, zasypano studnię, zniszczono aleję lip, usunięto górkę, na której stał nasz dom i jeszcze dwa budynki, należące do mojej rodziny.



BABKA AUTORA HELENA MIECZKOWSKA I DZIADEK STANISŁAW PIOTROWSKI W POSZYŁAJCIACH. 1955 R.

Domy Fabianiszek padły pierwsze. Kilka lat trwał sad. Została na wzgórzu samotna jodła – z podciętymi korzeniami, ze sparaliżowaną jedną stroną korony, na której usychały gałęzie. Ostatnie dwa lata trwała jej agonia. Budowlani dali mi słowo, że jodła zostanie.

Tymczasem różni ludzie proponowali pieniądze za wykupienie naszego punktu odniesienia na mapie trwania. Nie mieliśmy nic do powiedzenia, bo ziemi nam i tak nie zwrócono, chodziło jedynie o formalny podpis, że się jej zrzekamy. Jeden z młodych litewskich kapitalistów powiedział prosto z mostu: «Stać nas na to, żeby mieć i tę ziemię!». Miał rację.

A jodła padła 13 maja 1998 roku. Dzień przedtem, przejeżdżając obok, pozdrowiłem drzewo – było ze wszystkich stron podkopane. Przyszedł cios ostateczny.

Bronić jodły oznaczało narazić się na śmieszność. Trzeba na to było spojrzeć też filozoficznie – przecież inwestycje gdzieś się muszą rozwijać. Ślad dawnej ery został zatarty – wywieziono ziemię, znikło wzgórze, skąd rozpościerał się widok na nasz świat dziecięcych marzeń. Nie ma ganków, na których w ciepłe letnie wieczory odurzał zapach kwiatów, dojrzewających jabłek i przekwitających ziół.

Jakże chcieliśmy wyrwać się stąd w szeroki świat, by potem tu powracać! Okazało się, że powrotów nie będzie. Tak skończyła się dawna epoka. Tyle ziemi wywieziono stąd chyba i po to, ażeby dotrzeć do warstw, po których nikt nie stąpał. Dziękuję ci, jodło, że tak długo trwałaś zielonym punkcikiem, niczym ostatni strażnik, na skazanej ziemi.

Historia nie pozwoliła Wileńszczyźnie pomnażać rodzinnych dóbr. Rzadko w jakim, nawet zamożniejszym domu, spotkasz portret przodka. Pamięć o przodkach wyręczają w sposób niekompletny czasem pożółkłe fotografie w kredensie, ze starych rzeczy – pamiątek niewiele. Myślę i ja: co mi pozostało po Mieczkowskich, Piotrowskich – nie wnikając w głębsze odgałęzienia rodzinne. Też niewiele – resztki zastawy sprzed wojny – parę talerzy, kilka sztućców srebrnych, trochę szkła, zegar, jakieś drobiazgi.

Dotykałem każdego dnia lat minionych dotykiem bezpośrednim. Robiły to potem moje dzieci, nie zdając sobie sprawy z tego. Dzięki klamkom, które w czasie zagłady domu udało się wymontować. Rolę flankowej klamki, strzegącej drzwi od ulicy, pełnił lekko zaokrąglony kowalski wyrób z żelaza, surowy w formie, wykwintny w swej lakoniczności.

Następne drzwi, mniej masywne, bardziej dekoracyjne, przypominały drzwi z dzieciństwa od frontonu – była tu najpiękniejsza, mosiężna klamka, bogata w linie i ornamenty. Kolejne drzwi miały klamki podobne, jakie były najbardziej popularne w tych stronach – mosiężne, o prostych formach, bez jakichkolwiek upiększeń, zachwycające swą wyniosłą prostotą. Siedem obustronnych klamek podobnych do siebie, ale każdy komplet inny, ze względu na ręczną robotę. Jedną z klamek, którą uznać by można za «księżniczkę» wśród pozostałych, a pochodzącą z drzwi, prowadzących do salonu, nie udało się zastosować – potrzebowałaby ona masywnych, większych drzwi i bardzo mocnych sprężyn.



Romuald Mieczkowski po wieczorze autorskim w ostatnią Środę Literacką w Celi Konrada. Luty 2000 r.

Tak oto, inna epoka została wpleciona do dzisiejszej codzienności. Klamki zachowują właściwą sobie dyskrecję, w słońcu potrafią ukazać swój urok w całej pełni, jaki zapamiętałem jako dziecko, usiłując złapać złote promienie, które tańczyły wokół nich.

Tylko mnie w tym domu nie ma.

Po Fabianiszkach została pamięć. Nasze odniesienia do tej ziemi, utrudnione historią i zagubieniem w trudnej codzienności – wydawałoby się – oddalają się bezpowrotnie. Czyż obecność z dziada pradziada stała się snem, dla którego tło stanowią jedynie stare fotografie? Czy my, którzy mówimy tam po polsku, jesteśmy realnie na ziemi naszych przodków? ■



Holszany. Dzwonnica i kościół pw. św. Jana Chrzciciela. Pocz. XX w. Zdjęcie Jana Bałzunkiewicza

Irena Waliuś



Obecny wygląd świątyni


Bóg
Honor
Ojczyzna